Nr. 27. Poznań, Niedziela 30go Września 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TRESC:

Mowa toruńska.

Od czasu pamiętnych mów Bismarkowskich, skierowanych ku zagładzie narodu polskiego, nigdy jeszcze tak żywym niepokojem nie zadrgały dzielnice nasze, jak w chwili obecnej. Padały z trybuny sejmowej nieraz już wyroki potępienia na głowy Polaków, — pojawiały się w niemieckich organach miarodawczych niejednokrotnie wróżby posępne dla pragnień i nadziei naszych, — spływały wreszcie zimnej wody strumienie z ministeryalnych wysokości na prowincye polskie, — ale ciosy te w umysłach naszych głębszych nie wyryły śladów. Mówiono nam bowiem bezustannie, że po nad czarnym, gradowym obłokiem jest wielkie słońce cesarskie, które blasków swoich w równej mieze całej monarchii użyczy. Opinja publiczna przeciw nam, lecz cesarz niemiecki za nami, — oto niezmienny kamerton muzyki ugodowej, zagłuszający smutne przestrogi opozycyi.

Takie pojmowanie sytuacyi stało się dla wielu dogmatem, a wiara w słońce cesarskie udzielała się nawet od czasu do czasu sceptykom ostrożnym. Legendy berlińskie układano bowiem z niezrównaną zręcznością i powtarzano je tak konsekwentnie, z takim dźwiękiem przekonania, z takiem wykończeniem szczegółów, że jakieś drobne światełko nadziei błąkać się zaczęło po całym kraju, a podsycane tytułami i orderami, powrotem kilku nauczycieli w strony rodzinne, Zedlitzowskim reskryptem i wreszcie nominacyą arcybiskupa Polaka rosło powoli w światło potężne. Wprawdzie trzeźwość polityczna rozpoznawała w tych rzekomych ustępstwach tylko pozory innego systemu, ale w zapalnych tłumach budziły one wiarę głęboką w łaski monarsze. Tym zaś, którzy, nie porwani optymizmem, zimną źrenicę bilans przeglądali i w dorobku naszym ugodowym żadnej cyfry poważniejszej uznać nie chcieli, powtarzano niezmiennie dramatyczną opowieść o pięknym królewiczu, którego czarowica — opinja spętała, broniąc mu uścisnąć ręki ukochanych.

„Dziś zaledwie ruchem niedostrzegalnym objawić może sympatye swoje, mówili, ale kiedyś... kiedyś... przekonacie się.“

Kontrola tych proroctw była niesłychanie trudną. Wszystko bowiem, co na potwierdzenie przytaczano, rozgrywało się w tak szczelnem zamknięciu zakulisowych komórek, że niepodobieństwem było przeniknąć ich tajników. Ponieważ jednak cesarz niejednokrotnie już składał dowody samodzielności swojej, ponieważ niektóre z czynów jego świadczyły o humanitarnych porywach i nieuprzedzonej ocenie sytuacyi politycznej, zatem rewelacye berlińskie zyskały pewne znamiona prawdopodobieństwa.

Źrenice polskie zwracały się ku tronowi z marzycielską ufnością. Ten młody monarcha który przewracał Bismarkowskie dęby i występował przed narodem z słowem dobrej woli i bezstronnej sprawiedliwości na ustach, wywierał wpływ magnetyczny na zapalną wyobraźnią słowiańską, elektryzował umysły i podbijał serca. I wyciągały się niejedne ręce ku niemu i marzyły głowy gorące, że stanie on kiedyś tu na polskiej ziemi i rzuci nam dobrotliwe słowo królewskiej przychylności, którego naród od poprzedników jego nie słyszał, a którego pragnął i które przeczuwał. Wilhelm II jednak milczał jak Sfinx... O Polakach nigdy ani jednem słowem nie wspomniał publicznie monarcha.

Wreszcie przemówił. W starym nadwiślańskim grodzie, gdzie przed trzema laty polscy obywatele proklamowali manifest wiernopoddańczej lojalności, wypowiedział cesarz niemiecki pamiętne, dziś już po świecie całym rozbrzmiewające słowa:

„Doszło do mojej wiadomości, że niestety tutejsi współobywatele Polacy nie postępują tak, jakby się tego spodziewać należało. Niechaj wiedzą, że tylko wówczas liczyć mogą na moje poparcie i łaskę moją w tym samym stopniu jak Niemcy, jeżli bezwarunkowo uważać się będą za pruskich poddanych. Żywię nadzieję, że toruńscy Polacy zastosują się w swem postępowaniu do tego, co powiedziałem w Królewcu“.

Nigdy jeszcze cesarskie słowa takim zgrzytem zawiedzionych nadziei nie ozwały się w prowincyach polskich jak ten dziwnie mglisty, ale silnem tchnieniem ujemnej krytyki owiany ustęp toruńskiej mowy. Jest tam wprawdzie zapowiedź monarszej łaski i poparcia w pewnych określonych, a od lat kilkudziesięciu przez nikogo nie kwestyonowanych warunkach, ale jest równocześnie jakaś groźba i potępienie wyraźne, którego naród wyniańczony kołysanką berlińską się nie spodziewał.

Być może, że rozmiary popłochu nie stoją w żadnej proporcyi do istotnej treści cesarskiego przemówienia, — bo krytyka miała podobno charakter więcej lokalny i podyktowaną być mogła tendencyjnym podszeptem toruńskich sprawozdawców, — ale właśnie dla tego, że wielka część społeczeństwa polskiego zwracała się ku tronowi z ufnością dziecka, że wyczekiwała słowa nadziei i pociechy z bijącem sercem, że pragnęła, aby ten młody cesarz zamanifestował mu czemśkolwiek sympatye swoje i stanął w opozycyi do sztucznie przez prasę stronniczą fabrykowanej opinii, — dla tego, powtarzamy, to uderzenie Wilhelma II zabolało tak silnie, rozczarowało i przeraziło naród,

Karmiono nas tak długo poezyą względów tronowych i naprężono do tego stopnia ufność naszą, że niepokój chwilowy jest tylko naturalną konsekwencyą rozbudzonych nadziei, choć bezpośrednia przyczyna nie wywołałaby może w normalnych warunkach równie trwożnego zdziwienia.

Na wrażenie to złożyły się jednak inne jeszcze przyczyny. Przedewszystkiem bowiem zważyć wypada, że cesarz niemiecki *po raz pierwszy* w czasie panowania swojego do Polaków przemówił, że innego dokumentu jego politycznych sympatyi nie posiadamy, a ten jedyny, który nam zaprezentował, jest bolesnym ciosem. Nadto pamiętać należy, że mowa cesarska zabrzmiała w chwili, w której rozpoczęto nową

kampanję przeciw polskiej ludności, w chwili, gdy prasa niemiecka ciskała na nas kamieniem potępienia, a starzec Warciński przygrywał do szturmu rozpasanej publicystyce. Jest to moment, w którym cesarska mowa musiała wywierać wrażenie pewnej solidarności z prądem antipolskim, pewnej sympatyi dla Bismarkowskich żywiołów. Tak przynajmniej pojęła to prasa niemiecka, przyklaskująca toruńskiej krytyce.

A wreszcie jeszcze jedna i to najważniejsza przyczyna. Spłynęło z ust cesarskich mgliste ostrzeżenie, którego nikt z nas pojąć nie umie. Powiedziano Polakom, że „nie postępują tak jakby się tego spodziewać należało“, a wtedy tylko liczyć mogą na królewską łaskę, jeżeli „bezwarunkowo uważać się będą za pruskich poddanych“. Jest zatem jakaś wina, polegająca na przekroczeniu obowiązków, nałożonych na nas przez pruskie poddaństwo, ale próżno myśl się wysila, aby chociaż fakt jeden w naszej pracy narodowej odnaleźć, świadczący o słuszności cesarskich zarzutów. Przebiegamy gorączkowo dzieje lat ostatnich, rozpatrujemy najdrobniejsze szczegóły życia publicznego, analizujemy z pedantyczną sumiennością zachodnio-pruskie stosunki, i zmęczeni stajemy u wrót zagadki, której nikt z nas nie zdołał rozwiązać. Nasłuchujemy więc niemieckich głosów i szukamy komentarzy w prasie wszystkich obozów cesarstwa, ale i z tej podróży wracamy bez plonu z próżnemi rękami. Gdzież zatem jest wina nasza? pytamy z trwogą i niepokojem rosnącym. Spełniamy wszystkie obowiązki wobec państwa i oddajemy mu ostatki mienia naszego z wycieńczonych ekonomicznie prowincyi, — a z tego chyba monarcha niemiecki zarzutu robić nam nie może. Bronimy naszego języka na fundamentach legalnych, bronimy go z męztwem i energją, ale i z tą świadomością, że spełniając obowiązki względem narodu, nie naruszamy niczem obowiązków względem państwa. Jeżeli to jest winą Polaków, jeżeli ta miłość języka ojczystego ściągnęła na nas gromy cesarskie, jeżeli wreszcie „bezwarunkowe poddaństwo pruskie“, równa się dobrowolnemu wynarodowieniu, w takim razie, Najjaśniejszy Panie, jedna nam tylko zostaje odpowiedź: *Non possumus.*

POLITYKA.

Z krajów okupowanych.

pobieżny szkic

napisał

Wojciech Szukiewicz.

(Dokończenie.)

V.

Mało ludzi wie zapewne, że w Bośnii i Hercegowinie płaci lud podatek w formie dziesięciny, a jest to dla ludu forma w wysokim stopniu uciążliwa nie tylko z powodu wysokości podatku, ale i z przyczyny sposobu jego wymierzania. Nawiasowo dodać muszę, że dziesięcinę opłacają nietylko kmetowie ale i wolni włościanie do trzeciny nie obowiązani.

Skoro zboże już zupełnie dojrzeje, wychodzi na pola mianowana przez władzę polityczną komisya z trzech członków złożona, z których dwaj są ludźmi zaufania i władzy i ludu, a jeden zaufany wyłącznie władzy. Komisya, obejrzawszy zboże na pniu na łanie, oznaczą jego ilość n a o k o i dziesiątą część tego zapisuje na podatek. Otóż zauważyć należy, że ten sposób wyznaczania podatku naraża częstokroć biednego włościanina na ogromne straty, bo nie wolno mu zebrać zboża tak długo, jak długo komisya swego zadania nie spełni, a tymczasem dojrzałe ziarno może się z kłosa wysypać, albo w razie deszczu na pniu zgnić i zniszczeć. Niesłychany w świecie cywilizowanym sposób wyznaczania podatku wywiera na lud wpływ demoralizujący, gdyż każdy stara się członków komisyi przekupić, aby mu jak najmniejszą dziesięcinę wyznaczyli. Wobec tego nie trudno zrozumieć dla czego, jak to już poprzednio wspomniałem. czwarte miejsce w statystyce przestępstw Bośnii i Hercegowiny zajmuje usiłowane albo dokonane przekupstwo taksatorów podatkowych. Rząd austro-węgierski zatrzymał dziesięcinę rzekomo dla tego, że lud przywykł do niej od czasów tureckich a de facto dla tego, ponieważ dziesięcina przynosi bardzo wielkie dochody, pozwalające rządowi nietylko na opłacenie wszystkich normalnych wydatków, ale na wiele jeszcze kosztownych eksperymentów, o których kilka słów niżej.

Podnieść należy jeszcze jeden niesłychanie ważny moment, a mianowicie, że za czasów tureckich składał lud dziesięcinę do szpichlerzy państwowych in natura, a obecnie oznaczoną na pniu dziesięcinę ocenia się według *średnich cen targowych*, i ściąga podatek *w gotówce.* Ponieważ zaś termin płacenia podatku wypada między 1 Listopada a 31 Grudnia, przeto ceny jesienne są niższe od średnich i rólnik musi sprzedać więcej niż dziesiątą część, aby wyznaczony podatek zapłacić.

Kogżę nie zachwyci ta pieczołowitość rządów okupacyjnych dla biednego chłopa słowiańskiego, którego uwolniono z pod srogiej niewoli tureckiej? Dla uzupełnienia obrazu dodać trzeba, że pokorny lud tak przywykł do dziesięciny od wieków, iż płaci ją z poddaniem się woli bożej, a Bośnia i Hercegowina nie zna zaległości podatkowych.

Za to szlachta mahometańska, właściciele kmetów, czyli begowie i agowie opłacają niesłychanie mały podatek zwany *salus vergia*, pobierają jednak trzeciznę, szacowaną od czasów okupacyi *według dziesięciny.* Jeżeli który właściciel jest dobrego serca i dbały o swoich kmetów, to pobiera trzeciznę nie według dziesięciny, ale według stanu faktycznego.

Nie trudno pojąć, że dziesięcina jest dla ludu przepisem wysoce uciążliwym, a jednakże istnieje inny według, zdania znających stosunki lokalne jeszcze uciążliwszy, to jest tak zwany szarwark czyli praca przy drogach publicznych i budynkach wszelkiego rodzaju. Każdy obowiązany jest odrobić sześć dni w roku, według przepisanej kolei, bodaj to były dni najbardziej do pracy około gospodarstwa potrzebne. Można wprawdzie wykupić się od pracy osobistej kwotą 1,50 złr. na trzy miesiące przed Nowym rokiem, kwotą 3 złr. potem, ale zawsze, nie kijem go to pałką; w ten czy inny sposób jeden ciężar więcej i tak już biednego chłopa gniecie. Dzięki temu urządzeniu posiadają Bośnia i Hercegowina wyborne istotnie szosy, ale nie przynoszą one żadnego, albo prawie żadnego użytku. Przez cały czas mojej wycieczki nie widziałem prawie wozów, bo lud używa do wszystkiego jucznych koni. Rzecz jest bardzo jasna i zrozumiała. Tak w Bośnii jak Hercegowinie nie ma wsi skupionych w naszem pojęciu; właściwie powiedziawsyy wsie nie istnieją. Pojedyńcze chałupy, albo grupy kilku chałup rozrzucone są po *stokach górskich* w kilometrowych odległościach od siebie i od szosy tak, że chłop, ani wyjechać z domu, ani przyjechać wozem nie może. Jestto absolutne niepodobieństwo i pozostanie niem zapewne na zawsze. Z tego powodu lud używa jedynie i

---

11)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

Wiatr jęczał i wył, zginając suche gałęzie ogromnych drzew. Zdawało nam się co chwila, że słychać zgrzyt kutych sanic po śniegu i odgłos stąpania koni po brukowanym podjeździe. Nasłuchiwaliśmy z wielką uwagą. Widocznie chcąc rozproszyć obawy, panna Marya podniosła się, zbliżyła twarz do szyby i wyjrzała na uliczkę, a następnie opuściła storę aż do dolnej ramy okna. Gorączkowo śledziłem jej ruchy i niepomału byłem zdziwiony, gdy zasłoniwszy okno jak najszczelniej usiadła na drugiej, mniejszej kanapce w ciemnym kącie pokoju. Roskosznym giestem wskazała mi miejsce obok siebie. Rzecz prosta że skwapliwie i dokładnie wykonałem jej rozkaz. Zaczęło się nadzwyczajne całowanie. Było tego słodkiego tak dużo, że chwilami nie zupełnie dokładnie wiedziałem, gdzie się znajduję i na jakie niebezpieczeństwo siebie i tę pannę narażam. Pocałunki jej stawały się coraz bardziej przeciągłemi i nienasyconemi...

Nagle panna Marya zaczęła drżeć mocno, śmiać się głośniej.. Wysunęła mi się z ramion i upadła na kanapę. Wtedy dopiero spostrzegłem, że ona mdleje z nadmiaru wrażeń. Nim zdołałem zerwać się na nogi, już leżała zupełnie bezwładna, w pozie tak olimpijsko czarującej, że do reszty traciłem władzę nad sobą.

Otrzeźwiło mię dopiero przerażenie na widok jej ciągłej i zupełnej bezwładności. Zrozumiałem, że dziewica, kokietująca tak śmiało — musi być chyba zemdloną. Wówczas ogarnęła mię prawie rozpacz. W całym domu panowała śmiertelna cisza. Wiedziony błogosławionym instynktem wyszedłem na palcach do sąsiedniego pokoju i namacałem w ciemności na jakimś stole karafkę. Powróciwszy co tchu do sali, zlałem śliczną kokietkę wodą aż zanadto szczodrze i otrzeźwiłem nareszcie. Spojrzała przytomnie, uśmiechnęła się, wypiła kilka haustów wody i usiadła o własnej sile. Wtedy bez pożegnania wyleciałem z tej sali jak przestraszony jeleń, z błyskawiczną szybkością przebyłem szereg pokojów, potrącając w ciemności stołki i stoły, a znalazłszy się na ulicy, rwałem z kopyta w kierunku koszar. Dopiero podedrzwiami naszego pokoju poczułem w sobie jakieś ździebełko odwagi.

Moi koledzy grali, jak zwykle w karty. W izbie było tyle dymu, że wchodząc ze świeżego powietrza, z trudnością odróżniałem twarze grających.

— A — pan Zych! — zawołał mój osobisty nieprzyjaciel, Pociosek. Cóż tam w Warszawie, bunt zaczyna się, czy odłożony.

— Cha — cha — cha! — wybuchnęli wszyscy trzej.

— Nie udawaj głupiego panie Pociosek, — powiedziałem, śmiejąc się jeszcze głośniej od nich. Kto ma tak znakomite stosunki, kto potrafi porozumiewać się z buntownikami, nie budząc niczyjej podejrzliwości, jak to pan czynisz, ten o buncie musi wiedzieć najdokładniej.

— *Kak?!* — wrzasnął ten głupiec. Cisnął karty na stół i skoczył do mnie z pięściami.

— Ach, ty psie! — zawołałem po polsku w przystępie wściekłości. Chwyciłem go za gardło i powaliłem na łóżko. Biezdonyszkin i Zubcow rozbroili nas i poczęli uspakajać. Ochłonąwszy z gniewu, począłem zbierać myśli i szukać przyczyny tego powiedzenia Pocioska. Czyżbym się zdradził?

Wszystkie listy Janka, moje pisane do niego i notatki późniejsze miałem przy sobie. Musiałem przyjść do wniosku, że ten nikczemny chłopak nic o mnie, nie wie że użył takiego argumentu, ponieważ wydawał mu się w miarę silnym. Dwaj koledzy nie ustawali w namawianiu nas do zgody. Chcąc zbadać rzecz do

wyłącznie jucznych koni, a wyborne szosy są mu zgoła niepotrzebne. Ale są one potrzebne rządowi okupacyjnemu, aby mógł turystom powiedzieć: patrzcie, co tu zrobiono przez czternaście lat i podziwiajcie. Ba, zrobiono jeszcze więcej, bo zbudowano już sieć bardzo kunsztownych i kosztownych kolei żelaznych, wzniesiono wiele hoteli rządowych i t. d. i t. d.

Dodajmy do tego wszystkiego powszechną, trzechletnią (obyczajowo tylko dwuletnią) służbę wojskową, od której można się uwolnić, dawszy za siebie płatnego zastępcę, a zrozumiemy, że istotnie zapanowały w Bośnii i Hercegowinie od czasów okupacyi błogie czasy, po których wiele dobrego dla ludu spodziewać się można. I niechże teraz jakiś warchoł młodoczeski wystąpi w parlamencie wiedeńskim z uzasadnioną skargą przeciwko rządom okupacyjnym! Oczywista kieruje nim jedynie chęć dokuczenia rządowi i zaznaczenia swych dążności opozycyjnych.

Przed okupacyą lasy należały wprawdzie do rządu tureckiego, ale nikt nie bronił ludowi brać drzewo na swoje potrzeby. Dziś oczywista istnieje służba lasowa, która dobra publicznego pilnie strzeże. A wszędzie na drzewach lepszych lasów poumieszczano deseczki z napisem: „Zabranjen lov“.

Zważywszy to wszystko, nie będziemy się dziwić, że lud od czasów okupacyi nie tylko się nie podnosi ekonomicznie ale nawet upada. Z ust urzędników politycznych może się ciekawy dowiedzieć, że rząd wszystko robi, żeby ekonomiczny byt ludu podnieść. Sprowadza więc ulepszone rasy koni, bydła i owiec, które w Bośnii i Hercegowinie zaaklimatyzować się nie mogą i wkrótce wymierają. Zamiast tych niezdarnych eksperymentów należałoby poprawiać i uszlachetniać rasy krajowe, które ludowi rzetelny pożytek przynoszą.

Do nabytków pookupacyjnych zaliczyć trzeba jeszcze szkoły komunalne i wyznaniowe.

Ażeby nie pominąć żadnego ważnego momentu o dzisiejszem położeniu Bośnii i Hercegowiny stanowiącego, dodać jeszcze należy smutny fakt, że ludność jednej narodowości i jednego języka dzielą na trzy części trzy różne wyznania: katolickie, prawosławne i mahometańskie. Katolicy nazywają się Chorwatami i sprzyjają idei wielkochorwackiej; prawosławni nazywają się Serbami i ciągną ku Serbii oraz Rosyi; mahometanie nazywają się powszechnie acz całkiem niesłusznie Turkami i trzymają stronę rządu okupacyjnego, z którym wcale im nie źle, a zresztą mahometanie popierają Austro-Węgry dla tego, gdyż obawiają się, że Rosya nie tolerowałaby ich wyznania, kiedy się ludności nikt o przekonania albo dążności polityczne nie pyta, co będzie z czasem, kiedy szkoły i kultura swój wpływ wywierać zaczną, kiedy naród dojrzeje i zechce przekonaniom swoim nadać wyraz w dziennikarstwie albo życiu politycznem? Nieszczęśliwy to doprawdy kraj ta Bośnia i Hercegowina, skazana od wieków na nieustanne cierpienie, któremu końca zgoła nic nie zapowiada. Cały rozwój historyczny dążył do wytworzenia anormalnych i jedynych w swoim rodzaju stosunków. Na terytoryum Bośnii i Hercegowiny ścierały się od dawna dwa światy, dwie kultury: azyatycka i europejska, mahometańska i chrześciańska, wschodnia i zachodnia. Dzisiaj wprawdzie stosunki zmieniły się bardzo, ale czy na lepsze, niech sobie każdy sam odpowie.

Poznawszy bliżej omówione w artykułach położenie ludności słowiańskiej, zamieszkującej Bośnię i Hercegowinę, nie można powstrzymać się od ciężkiego westchnienia i życzenia, żeby się los biednego ludu co prędzej poprawił. Pomoc może nadejść tylko ze strony innych Słowian, w skład monarchii Austro-Węgierskiej wchodzących. Wprzód jednak muszą ci Słowianie poznać się bliżej, zrozumieć i zjednoczyć a potem dopiero wspólnie działać. Czy i kiedy to zjednoczenie jest możliwe zobaczymy w innym artykule, rzecz całą szczegółowo omawiającym.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Z powodu odmówienia debitu pocztowego serbskim dziennikom niezawisłym przez Austro-Węgry, piszą *„Narodni Listy:*

„Nowy zakaz, dotyczący serbskiego dziennika radykalnego „Odjek“, któremu obecnie nie wolno przekraczać granicy austro-węgierskiej, ma pewne znaczenie polityczne. „Odjek“ ani w czasie najnowszym, ani też dawniejszym nie zamieścił nic takiego, coby świadczyło o nieprzyjaznym względem Austryi usposobieniu, a jednakowoż rząd nasz odmówił mu debitu. Czemu? Oto z tej prostej przyczyny, aby odjąć możliwość prasie słowiańskiej i publiczności informowania się o stosunkach serbskich, które owe pismo ilustruje prawdziwie. „Odjek“ należy do opozycyi, występuje zawsze w tonie umiarkowanym, czy to przeciw rządowi obecnemu w Serbii, czy też krytykuje politykę austryacką.

„Odmówienie serbskim dziennikom debitu pocztowego w Austryi jest ulubionym środeczkiem naszej władzy.

„Tak w Austryi niewolno na poczcie zapisywać organu Serbów węgierskich „Zastavy“ i „Branika“, wychodzących w Nowym Sadzie i „Serbobranu“, który drukuje się w Zagrzebiu. „Zastawie“ okok tego odjęto pozwolenie wysyłać numerów do Serbii!!! Wszystkim tym pismom zakazano debitu pocztowego w Bośnii i Hercegowinie, jako też w Zadarze wychodzącemu dziennikowi „Serbski Glas“.

„Przed kilku laty odjął rząd debiut pocztowy beletrystycznym czasopismom „Crugorka“, „Zeta“ i „Nova Zesa“, które wychodziły w Cetynii. Przez odjęcie debiutu pisma te musiały upaść, ponieważ w Czarnogórze nie byłyby nigdy pozyskały dostatecznej liczby abonentów. Tym sposobem rząd austryacki potrafi niweczyć próby szlachetne podjęte w celu odrodzenia się piśmiennictwa serbskiego.

* *

„Russkoje Słowo“ w artykule zatytułowanym „Narodnoje Swiato“ (Narodowe Święto) poświęca ostatniemu zebraniu moskalofilskiego towarzystwa im. Kaczkowskiego następujące uwagi („Russkoje Słowo“ reprezentuje kierunek moskalofilski):

„W sali Narodnego domu, na którym powiewała chorągiew o barwach narodowych, zebrało się około 1000 osób. Zeszli się włościanie nawet z dalekich okolic, a równie licznie było reprezentowane duchowieństwo ruskie i świecka inteligencya. Mieliśmy też przyjemność oglądania licznego zastępu ruskich kobiet, którym sprawa narodowa nie jest obojętną.

„O godzinie 11 zagaił posiedzenie prezes towarzystwa Dziedzicki, przedstawiwszy zebraniu komisarza rządowego. Następnie odbył się wybór zarządu. Wybrano Dawidziaka, Małeckiego, Reszetyłę i Grędziołę. Pierwszym mówcą był pan Kobliański z Drahasówki W ognistej przemowie przedstawił obecnie smutne położenie Rusinów w Galicyi. Wzywał, abyśmy zjednoczonemi siłami walczyli przeciw wspólnemu niebezpieczeństwu wynarodowienia. Tylko wrogowie pracy nad oświatą ludu, nad podniesieniem jego patryotycznego poczucia mogą być wrogami naszego towarzystwa. „Pod skrzydłami naszego sztandaru — tak mówił — zmartwychwstanie Ruś, zjednoczy się i spotężnieje. Pracować powinniśmy w imię idei, które przyświecały Władymirowi i Oldze, Cyrylemu i Metodemu, których wyobrażenia znajdują się na naszym sztandarze. Naszemi świętościami są: cerkiew, książka i cyrylica.“

„Po tej mowie przeczytano sprawozdanie z dotychczasowej działalnoćci towarzystwa, nad

---

gruntu, musiałem pierwszy podać rękę Pociosowi. Rzucił mi się zaraz na szyję i, jak wszyscy ludzie obłudni, począł uniżenie prosić o zgodę.

— Czyż „rycerz“ *(woin)*, czy człowiek honoru nie powinien wstydzić się rzucenia podobnej kalumnii na współtowarzysza? — mówiłem, patrząc mu w oczy uważnie.

— No, palnąłem głupstwo, przyznaję, — ale ja żartowałem, a pan musiałeś natychmiast wystąpić ze swoim polskim *psem*, — odrzekł z swoim junkierskim patosem.

— Brednie, dziecinstwa; — wołał Biezdonyszkin. Ot — wiecie co? Na to się ludzie kłócą, aby się godzić. Bez rektyfikacyi odpuszczenie grzechów — to rzecz prawie niemożliwa. Wiem, dobrze, — jako popowski syn... Słowo honoru! Mówię tedy tak: — zróbmy składkę, ja pójdę po szklanną szyjkę... Zych — chcesz pić z nami?

Pierwszy raz ten płatny kontroler swoich sióstr mówił do mnie *ty*.

— Ja zawsze piję z ludźmi honoru!

— Ot, to ja rozumiem! To po naszemu i po oficersku! A czemu to ty byłeś dotąd taki hardy, gadać z nami nie chciałeś? Nic dziwnego, że nam było przykro... Myśmy ludzie zwyczajni...

— Dosyć! — huknął tęgi Zubcow. Będziemy pili na zgodę, przyjaźń i braterstwo! Od dnia dzisiejszego mówimy sobie *ty*. Dobrze? Chcesz?

— Czyliż możecie o to pytać? — rzekłem z przyprawnem wzruszeniem.

— Chcesz, Zych, grać w *stukułkę?* — cicho i prawie ze łzami w oczach zapytał mię Pociosek.

— Ależ nietylko w *stukułkę*... W samego czorta grać będę z takimi kolegami!

Biezdonyszkin wyszedł po wódkę, a my zasiedliśmy do tej głupiej gry...

Głupiej gry! Śmiałe, a jednak nie zupełnie ścisłe określenie, bo przecie przez dwa ostatnie miesiące ta gra zajmowała mi wszystek czas, wolny od mustry, snu i spożywania posiłku. Nietylko zabierała czas, ale zabierała myśli i uczucia, podobnie, jak wrzód absorbuje wszystkie władze cielesne na swą wyłączną korzyść. Grywaliśmy nieraz po całych nocach. Zdarzały mi się znaczniejsze wygrane i przegrane. Pamiętam, że raz wygrałem od Biezdonyzkina 15 rubli. I tak wesoło upływał czas. Karty, śledź, wódeczka, panienka, albo dla odmiany: panienka, wódeczka, śledź, karty. Poznałem prawie wszystkich młodszych oficerów, bywałem u nich pozawięzywałem stosunki przyjaźni z ludźmi głupszemi i wstrętniejszemi od szympanzów. Nieraz po pijanemu staczałem z nimi haniebne dysputy, uczestniczyłem w monstrualnie bezmyślnych skandalach. Nareszcie pewnego razu ogarnęło mię śmiertelne znudzenie. Wysłano nas do zimowego obozu. Pamiętam tę noc, spędzoną w okrągłym namiocie płóciennym z otworem ze szczytu, tę noc bezsenną i dziwaczną. Leżałem pospołu z żołnierstwem *w gwiazdkę*, nogami, albo głową zwrócony do ogniska, płonącego pośrodku namiotu. Kiedy głowę zanadto rozprażało ciepło ogniska, — nogi kostniały z zimna. Wówczas zmieniało się pozycyją: nogi szły do ognia, a głowa na świeże powietrze. Nikt z nas wtedy nie spał. Wszyscy paliliśmy papierosy i gwarzyli. Z początku bawił mię ten cały dowcip, później opamiętał, a wreszcie zaczął dręczyć. Ogarnęła mię ze wszech stron ta ckliwa nuda, ta czczość, ta pustka w szerz i wzdłuż. Pojąłem wówczas, leżąc na śniegu i jak psina zanurzony w słomę, że całe moje dawne życie, moja górna młodość, spokój sumienia, odgrodzony od wszystkiego brudu ziemi nieprzebytą fosą uczciwości, że moje zamiary, plany i wyobrażenia — niby olbrzymi pociąg uciekły po za moje plecy i zginęły w oddaleniu. Musiałem przed sobą wyznać, że we mnie niema już materyału, miazgi, elementu na człowieka takiego, jak Janek. I beczałem wtedy, jak pokutująca prostytutka...

Od owych nocnych marzeń datuje się epoka weltschmerz'u. Stan ten nie słabnie, ale się wzmaga, „ciągnie się i szerzy“, jak powiedział tamten stary poeta. Jest to takie uczucie, jakbym się z furyją dobijał pięściami do czegoś,

którem rozwinęła się długa dyskusya. Zebranie zakończono toastami deklamacyami i śpiewami.

* * *

Główny organ realistów czeskich pragski „*Czas*“, tygodnik wychodzący pod redakcyą profesora uniwersytetu Masaryka tak pisze o obecnych stosunkach, panujących w obozie młodoczeskim:

„Nie da się już zaprzeczyć, że w łonie naszego społeczeństwa panują stosunki straszne. Szczyt niezrozumienia się wzajemnego, zamięszania, wiarołomstwo i komedyanctwo. Czy młodoczeskie stronnictwo wogóle jakiekolwiek moralne zasady posiada, nad tem dałoby się dyskutować! W pewnem gronie posłów młodoczeskich przeważała podczas ostatniej sesyi parlamentarnej opinia, aby zupełnie pola ustąpić radykałom w guście Vaszatyego i Gregrów. Tym sposobem chciano ich skompromitować i uczynić nadal niemożliwymi. Zamiaru tego jednak zaniechano, ponieważ obawiano się, że kompromitacya tych ludzi byłaby kompromitacyą całego stronnictwa.

„Jesteśmy ciekawi — tak kończy „Czas“ — jak się wobec tych stosunków zachowa stronnictwo postępowe, które dotąd szło z Młodoczechami ręka w rękę. *K.*

LITERATURA I SZTUKA.

Wizyta u Sudermanna.

Hermann Sudermann mieszka pod Nr. 16 na Nettelbeckstrasse, w dzielnicy Thiergartenu, wykwintnej części Berlina, do której dąży wszystko, co miasto posiada wybitniejszego w sferach arystokratycznych i finansowych, wojskowych i naukowych, literackich i artystycznych. Jak wiadomo, poeta nietylko potrafił odczuć rozkosze życia, psychologię, oraz odtworzyć salony tych uprzywilejowanych sfer właśnie, ale umiał im też przeciwstawić „oficynę“, gorycz pracy powszedniej, zawiedzionych nadziei, złamanych uczuć, zrozumieć wzajemny stosunek tych światów, kolizye i ich rezultaty jako to: względność pojęć społecznych, marnowanie i pochłanianie najlepszych sił przez Molocha wyrafinowanej rozpusty w nowożytnej Sodomie, rozdźwięk poglądów etycznych rodziców i dzieci, kopiący między niemi przypaść głęboką, nieprzebytą.

Mieszkanie autora „Gniazda rodzinnego“ znajduje się na trzeciem piętrze domu, wyróżniającego się z pomiędzy otaczających, pretensyonalnie lśniących od złoceń i jaskrawych ozdób zewnętrznych, skromnością i pewnym wykwintniejszym komfortem. Samo urządzenie świadczy o dobrym guście gospodarza, zamiłowaniach jego artystycznych, jak równie i o tem, że doba dzisiejsza (w niektórych społeczeństwach przynajmniej) nie jest niewdzięczną dla talentów, dając im obok uznania moralnego i możność materyalną zaspokojenia najwyższych potrzeb komfortu i estetyki. W szeregu salonów znajdują się prawdziwe dzieła sztuki, płótna pędzla starych mistrzów włoskich (perłę których stanowi oryginalna „Madonna“ Pawła Werończyka), najwybitniejszych malarzy współczesnych, staroniemieckie arcydzieła, płaskorzeźby, misterne cacka japońskie i chińskie, porcelana saska i dzieła ceramiki z czasów renesansu. Ściany zdobią makaty i gobeliny średniowieczne i złote brokaty wschodnie. Uprzejmy, zaledwie trzydziestosześcioletni gospodarz, o wysokiej przyjemnej postaci, twarzy bardzo przystojnej, bladej, otoczonej długą, rozczesaną na dwie części czarną brodą, o pełnych blasku czarnych oczach, cieszy się widocznie uznaniem i zainteresowaniem, jakie gość dla pięknych tych przedmiotów wyraża. Cała osobistość Sudermanna czyni wrażenie niezwykle sympatyczne, pochodzące ze szczerej skromności poety, naturalności i swobody, pozbawionej wszelkiej pozy. Po chwili zawięzuje się następująca rozmowa:

Wszak pierwotnie pisywałeś pan jedynie nowele i powieści? Jaką drogą zwróciłeś się pan do literatury dramatycznej?

— Przyznaję, że teatr nęcił mnie oddawna i że męczyła mnie kwestya, czem się różni twórczość dramatyczna od innych dziedzin twórczości literackiej. Wszak mieliśmy znakomitych niemieckich powieściopisarzy, którym nieudawały się wszelkie prace dla teatru, że przytoczę dla przykpadu Spielhagena i Heysego. Zacząłem się zatem zastanawiać nad techniką teatru i studyować jej prawa a to w sposób dość prosty. Kupiłem sobie kilkanaście różowych książeczek ze zbioru Reclama, zawierających uznane za dobre dzieła dramatyczne z różnych literatur, i przypatrzyłem się ich technice, starając się następnie zdać sobie sprawę z tego czem się ona różni od tworzenia literacko-artystycznego wogóle. Przyszedłem do przekonania, że tu, jak i tam, chodzi o dobre zaobserwowanie i odczucie przedmiotu i umiejętność odtworzenia tych obserwacyi w celu wzbudzenia w innych tego samego nastroju. W teatrze jednak trzeba wrażenie wywołać — nie w pojedyńczym człowieku — ale jednocześnie w grupie ludzi złożonej z rozmaitych żywiołów, różnego stopnia kultury i wykształcenia, mających często mało wspólnego, połączonych jedynie przypadkowością znajdowania się w jednem miejscu. Otóż cała sztuka polega na tem, aby wybrać temat, któryby potrafił wszystkich jednakowo zająć. *Talent dramatyczny, podług mnie, leży w poczuciu wyboru odpowiedniego tematu.* Temat ten powinien, oprócz interesowania ogółu, posiadać jeszcze dwie właściwości: możność rozdzielenia go na odpowiednie części oddzielne, stanowiące same w sobie całości, zwane aktami, i możność stopniowania wrażenia w widzach do pewnego kulminacyjnego punktu, poczem nadawać się do prędkiego rozwiązania. Po za umiejętnością wyboru tematu, reszta to już technika właściwa, rzemiosło — kwestya wprawy.

— Wszak już pierwsza pańska sztuka „Honor“, zyskała niezwykłe powodzenie? Jakże to pogodzić z ową potrzebą wprawy?

— Niewątpliwie „Honor“ jest technicznie i literacko najsłabszą sztuką moją. Posiada on za to pewną oryginalność i siłę, właściwą pierwszym utworom, która działa na publiczność. Stawiałem sobie następnie coraz trudniejsze zadania, chcąc doświadczyć swoją umiejętność techniczną. W najnowszej sztuce w „Walce motyli“, której pierwsze przedstawienie przygotowują na 6 października w teatrze Lessinga, a z której próby prowadzę od kilku tygodni, postanowiłem wywołać wrażenie środkami najprostszemi. Brak w niej zupełnie wielkich efektów i tematów, jak również scen gwałtownych. Za to włożyłem całą pracę w szczegóły, robota to będzie filigranowa. Sztuka powinna mięć najwięcej wartości artystycznej ze wszystkich moich dotychczasowych prac dla teatru.

— Określenia pańskie co do umiejętności wyboru tematu, są istotnie trafne, niepodobna ich jednak stosować do wszelkiej twórczości dramatycznej. Szekspir naprzykład

— Być może! Wszelkie definicye nie wyczerpują przedmiotu. Wyraziłem panu jednak powyżej w zupełności *moje* uświadomienie podczas tworzenia dla teatru, o ile sobie z niego zdaję sprawę.

— Czy panu wiadomo, że sztuki pańskie cieszą się w Warszawie stałem i wyjątkowem

---

co jest moją własną duszą, a ona zawsze jednako brzmiała odgłosem zupełnej próżni.

Ach, gdybym na jednę przelotną minutę mógł zobaczyć twarz Janka i spocząć wzrokiem w tych oczach mądrych i miłosnych..

17 Maja.

Co godzina z burych, szybko pędzących tumanów zlatuje deszcz ciepły i rzesisty. Drzewa, zmoczone aż do korzeni ukrytych najgłębiej, rozpuszczają wielkie liście. Na kasztanach zjawiły się stożkowate kwiaty, niebieścieją całe kępy bzów i bielą się po rabatach narcyzy. Gdy deszcz spada na urocze zarośla, słowiki zanoszą się od śpiewu. Może kąpiąc się w tym dżdżu, doznają rozkoszy, może on zaspakaja ich pragnienie, a może dokucza samicom, które szczelnie skrzydłami otulają gniazda.

Allegra pieśni tych szczególnych ptaszyn są coraz dłuższe i coraz bardziej rozmaite. Są w nich odbicia, czy odpryski głosu podobne do niezmiernie dalekiego echa tonu, co szybko ginie i zamiera między skałami górskiej przepaści. To znowu następują po sobie trzy akordy, niby trzy upadki ogromnych kropel w głęboką wodę, lub wylatuje w przestrzeń jęk okrutny, przeraźliwy, urwany, rozdarty, jakby zamknął w sobie otchłań ludzkiej boleści... Jęk ten rozpada się, rozlatuje, zaczyna naśladować ciche głosy, prawie szelesty, prawie szmery, których nie mogę wytłomaczyć inaczej, — chyba przyrównywując je do uderzeń serca, gdyśmy ujrzeli piękną kobietę i przeczuwamy, że ogarnia nas dla niej miłość bezgraniczna.

Z pokoju, gdzie siedzę, (rozumie się za bilardem), i gdzie niniejsze sentymenty wypisuję widać w kępie bzu tego nadzwyczajnego tenora. Drży, dygoce, zgina głowę, mocno obejmuje długiemi palcami gałązkę i śpiewa bez odpoczynku, najprzelotniejszej uwagi na słotę nie zwracając.

Gdyby można przywieźć tu rozmaitych niedołęgów, takich naprzykład, którzy oddawna siedzą w więzieniach i myślą sobie, w sekrecie beznadziejnie myślą o wsi i o polach... Gdyby to można zezwolić, aby tylko przez dwa dni posiedzieli na murawie w cieniu drzew, — aby mogli posłuchać, jak śpiewają ptaki i jak szemrze woda, lecąc po kamieniach z przezroczystego stoku... Gdyby to wolno im było przypomnieć sobie, że istnieje przestrzeń, że nad nieobeszłą ziemią wschodzi i zachodzi słońce, że na polach w ciepłych wiatrach kołyszą się młode zboża...

Majaczę... Gdzieby na takie ekscesa mogli pozwalać ludzie mądrzy, sprawiedliwi i przewidujący? Dziwię się nawet jakim sposobem mogłem powierzyć atramentowi podobne westchnienie...

Wracajmy, wracajmy czemprędzej na drogę *statecznego* rozumu i posłuszeństwa!

Wczoraj byłem widzem następującego *teatrum.*

Zdarzył się w naszej rocie żołnierz, obdarzony przez naturę nadzwyczajnie żywym temperamentem. Jest to wcale, na oko, przyzwoity chłopak, małorus z pochodzenia, — wesoły, figlarny, kpiarz nad kpiarzami, — no ale cokolwieczek złodziej i w pewnej mierze nałogowy pijak. Do tego stopnia lubi damskie towarzystwo, że gotów zastawić w karczmie nietylko państwową manierkę, buty, ale nawet mundur. Zanim wstąpiłem do wojska, on już był kilkakrotnie pod sądem wojennym i odsiadywał coraz dłuższe rekolekcye w kozie. Niedawno, powrócony na łono macierzystej roty, skroił znowu jakąś sztuczkę z damami i zastawieniem rzeczy państwowych, za co jako niepoprawny, skazany został przez sąd pułkowy na chłostę. Po obiedzie dowódzca bataljonu kazał nam wystąpić pod bronią i udać się na miejsce mustry. Tam uszykowano batalion, formując zwarty i zamknięty czworobok. W środku znalazł się skazany, mnóstwo oficerów i jakiś jegomość w mundurze oficerskim: prawdopodobnie urzędnik z sądu pułkowego. Przyniesiono długą ławę i stołek polowy dla lekarza. Z tłumu oficerów wysunął się Wiłkin, usiadł na stołku i założył nogę na nogę. Po bokach ławy stanęli dwaj żołnierze z brzozowemi wiciami w ręku. Są to grube i długie na jakie trzy do

powodzeniem i nie schodzą z repertuaru?

Wiem o tem i dumny jestem z tego. Wychowałem się w Prusach Wschodnich, niedaleko granicy i, kto wie, czy pierwsze wrażenia mego dzieciństwa i wpływ ich na moją duchowość nie grają tu pewnej roli, poruszając niektóre wspólne struny. Mniej rozumiem powodzenie sztuk moich we Włoszech, gdzie grywają je wszędzie a nawet Duse wybiera niektóre role za pole popisu. Pragnąłbym kiedy zobaczyć sztukę moją w Warszawie po polsku, choć nie rozumiem, niestety, tego języka i z przekładów tylko znam takie znakomite utwory literackie wasze, jak „Bez dogmatu“ Sienkiewicza. Dziwię się zresztą, że tego znakomitego pisarza obecnie już wcale nie nęci scena i że nie pisze rzeczy dramatycznych. Sądziłbym, że byłyby to dzieła bardzo wybitne artystycznie...

— Czy pan już wcale obecnie nie pisujesz powieści?

— Przeciwnie! Właśnie ukończyłem druk w pewnym tygodniku nowego romansu, p. t. „Es war!“ czekam niecierpliwie wydania książkowego, gdyż w rzecz tę włożyłem wiele pracy i uczucia.

Gabryel Kempner.

Listy Wojciecha Cybulskiego

do

Wacława Hanki.

(1840—1847.)

Ogłosił

Edward Jelinek.

VI.*)

Wielce Szanowny Panie Bibliotekarzu!

Gość dostojny, — słynny profesor tutejszego uniwersytetu, Senator i rzeczywisty radzca w ministerstwie oświaty, Boekh, przywozi Panu to pismo, a w niem serdeczne pozdrowienie moje. Ty, znakomity odkrywco królodworskiego rękopisu, staranny i szczęśliwy zbieraczu i komentatorze czeskich starożytności i literackich pomników, przedstawisz z właściwą sobie uprzejmością bez mojego pośrednictwa, literackie oraz inne skarby czeskiego muzeum narodowego niemieckiemu Nestorowi nauki o starożytnościach greckich, słynnemu na świat cały wydawcy „Corpus inscriptionum“.

Będzie to dla Pana większem zadowolnieniem przedstawiać inne skarby wielkiemu starożytnikowi, niż prezentować je zwykłym ciekawskim.

W bieżącem lecie nie odwiedzę Pana. Pewna praca literacka, którą do druku przygotowuję, zatrzymuje mnie tutaj. Ilekroć jednak myślę o Pradze, myślę równocześnie o muzeum i zazdroszczę Panu siedziby na wspaniałym Hradczynie. Używając na zewnątrz mieszkania najpiękniejszego widoku na miasto rodzinne, siedzisz Pan wewnątrz muzeum jak w podziemnym zamku czarodziejskim, gdzie minioną już przeszłość zakląłeś, aby ją nadpływającym z dalekich podróży rycerzom i damom, niby świetne marzenie, które przecież niegdyś było rzeczywistością, ukazać. Rzeczywistość tę ożywić zaklęciem oto sztuka pańska; i pragnąłbym nieraz biedz do Pragi, aby jej od Pana nauczyć się w całej pełni.

Bądź zdrów wielce szanowny panie bibliotekarzu. Przyjmij zapewnienie najgłębszego szacunku, z jakim zawsze pozostaje

najniższy sługa

Cybulski.

Berlin, 15 sierpnia 1894.

*) List ten, napisany w języku niemieckim, podajemy w tłomaczeniu. (Przyp. Red.)

VII.

Czcigodny Panie Bibliotekarzu!

Zacny gość, przez którego Pan byłeś łaskaw pisać do mnie, wraca przez Pragę do domu. Goniącemu często myślą po smętnej, przy całej piękności, Czechów krainie, odświeżającemu przy każdej okoliczności w pamięci uczucia doznane w pożyciu z wskrzesicielami nowego duchowego życia w Czechach — trudno przy tak dobrej sposobności, nie pisać i przesłać z początkiem nowego roku pozdrowienia i życzeń dla tych, którzy poświęceniem i usiłowaniami swemi przygotowują przyszłe losy i szczęście narodu swego. Nie masz pan wyobrażenia, ile przyjemności sprawia mi najdrobniejsza wiadomość o pomyślnym skutku przedsięwzięć patryotów czeskich. Czuję, że gdyby równem sercem, jak dzisiaj Polacy i Czesi, pałały wszystkie plemiona słowiańskie ku sobie — przyszłość nasza byłaby wkrótce rozstrzygnioną. Nieszczęścia i jedność celów zbliżają ludy i narody do siebie. Nas, zbliżonych rodem i mową, związanych wspomnieniami i węzłami wielkiej dziejowej przeszłości, czynią one bráćmi, którzy wyrośli w szkole doświadczenia i klęsk niezliczonych, wracają wreście na łono wspólnej matki, poznają się, podają sobie ręce, płaczą sercem, wiążą duchem i stanowią wielki przykład wzajemności narodów, która zgodna z zasadą miłości chrześciańskiej, stać się musi celem głównym rodu ludzkiego wogóle. *Dzisiaj nie widzą jeszcze swej dążności*, a jeżeli widzą, nie oceniają jej należycie. A przecież leży ona nietylko w sercach wybranych, ale w samem powietrzu, leży w duchu czasu, którego postępu żadna moc ziemska nie cofnie. To wiara moja — a zarazem źródło, z którego czerpię siły do jakiejkolwiek w wielkiem tem dziele zasługi. Z tego stanowiska patrzę, z niego oceniam serca i duchy tych, którzy pracują w winnicach ojczyzny. Z myśli tej wreszcie wydobywam wszystkie życzenia moje, które zacnym mężom czeskim, braciom mym, niniejszem pismem przesyłam.

Znajomość z szanownym Wukiem*) nadzwyczaj mi była miłą i pożądaną. Jest to mąż noszący na twarzy i w całej postawie swojej piętno charakteru swego. Nie zawiódł się na usiłowaniach swoich. Potomność odda mu też za nie nagrodę, którą znający go bliżej dziś mu z serca oddają. Przesyłam Panu przez niego ostatnie dwa numera Dziennika ministerium narodowego oświecenia i jeden ministerium spraw wewnętrznych; ostatniego więcej nie nadeszło.

Co do nadziei naszych w Poznańskiem względem założenia uniwersytetu narodowego w mieście samem Poznaniu niemile byliśmy dotknięci odpowiedzią królewską na sejm ostatni, odmawiającą założenia podobnego instytutu — a to z przyczyny braku usposobionych do niego nauczycielów polaków i niedostatecznej liczby uczniów, którzyby nań uczęszczać mogli, zwłaszcza, że będący rodem z królestwa polskiego nie mogliby mieć w tem udziału. Są to przyczyny niedostateczne, bo utworzenie takowego instytutu tworzy i ludzi i jest takowych, chociaż młodych, wystarczająca liczba: liczba zaś słuchaczów z samego księstwa poznańskiego i Prus zachodnich a nawet z Górnego Szląska była by na utrzymanie instytutu aż zbyt dostateczną. Łatwiej byłoby niejednemu pójść na uniwersytet do Poznania, niż do Królewca lub Berlina, skoroby tego z mniejszym nakładem majątkowym dopełnić można.

Literatura nasza postępuje pomyślnie. *Trentowski*, profesor filozofii w badeńskim uniwersyteci we Friburgu, piszący dawniej po niemiecku

*) Wuk Stefanowicz Karadžić (1787 do 1864 znakomity uczony i wskrzesiciel serbski, zasłużony wydawca zbiorów pieśni narodowych (pierwszy zbiór wyszedł 1814 r.) słownika języka serbskiego (1818), wydawca „Danicy“ (od 1826, i t. d.

---

czterech łokci gałęzie z cienkiemi odnóżkami. Zakomenderowano: — prezentuj broń! Wówczas jegomość z sądu odczytał wyrok, skazujący naszego kolegę za pijaństwo, hardość, *duraczestwo*, roztrwonienie własności rządowej i tym podobne występki na 150 uderzeń.

Odetchnąłem. Sentymentalne moje serce poprostu lękało się widoku np. 300 razów. Stopięćdziesiąt „miotełek“ — wielkie rzeczy! Za Jeroboama gorzej bywało. Bito wówczas bez czytania wyroku, bez asysty i kontroli reprezentanta nauki i, jak świadczą dzieje ludu wybranego, bito *basałykami*, czyli batami o żelaznych końcach. Nasza dobroczynna cywilizacya nietylko poobrywała żelazne końce batów, ale nadto i same *basałyki* zamieniła na *knut*, a ten ostatni na pędy rośliny tak niewinnej i poetom miłej, jak brzoza płacząca

Srogooki feldfebel pomógł delikwentowi do z jednej strony calkowitego, z drugiej częściowego pozbycia się uniformu i do zajęcia miejsca na ławie w pozie nieestetycznej co prawda, ale za to uwypuklającej bardzo dobrze część ciała, przewidzianą w danym wypadku przez prawo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

4) AUGUST STRINDBERG.

DZIEJE MAŁŻEŃSKIE.

(Tłum. Empa.)

IV.

Zerwane więzy.

Poznał on wprawdzie dokładnie marności tego świata, ale nie posiadał siły, potrzebnej do przełamania ciemności i do badania przyczyn, i to doprowadzało go do rozpaczy i rozdzierało jego myśli. Na domiar złego pokochał jakąś młodą dziewczynę, która poszła za kogoś innego. Użalał się on więc swoim przyjaciołom i przajaciółkom, ale wszyscy wyśmiali i wyszydzili go tylko. Niezrozumiany, samotny szedł dalej w życiu. Należąc do wyższego towarzystwa, musiał brać udział w rozmaitych zabawach — sprawiały mu one też pewną rozrywkę, ale pogardzał niemi i wcale się z tem nie taił.

Pewnego wieczora był na balu i tańczył z młodą dziewczyną, odznaczającą się niezwykłą urodą i bardzo inteligentną, ożywioną twarzą. Gdy się walec skończył, stanęli oboje przy oknie, aby nieco wypocząć. „On“ chciał z nią rozmawiać, ale nie wiedział o czem. Nareszcie młoda dziewczyna pierwsze przerwała milczenie, i rzekła z ironicznym uśmiechem:

— Lubisz tańczyć, baronie?

— Wcale nie — odrzekł. — A pani?

— Nie znam nic niedorzeczniejszego nad taniec — odpowiedziała.

Znalazł więc istotę, która podzielała jego zapatrywania!

— Dlaczego więc tańczysz pani? — zapytał.

— Dla tego samego powodu, dla jakiego i pan tańczysz — brzmiała jej odpowiedź.

— Umiesz pani odgadywać moje myśli!?

— To pewnie nie trudno! Ludzie ożywieni równemi myślami, zrozumieją się zawsze!

— Hm, jesteś pani dziwną młodą dziewczyną; wierzysz też w miłość?

— Nie!

— Ja też nie! Ale trzeba się jednak ożenić!

— Ja też tak myślę!

— Chcesz pani wyjść za mnie?

— Dla czego nie? Nie będziemy się przynajmniej nigdy bić!

— Pfe! Ale zkąd pani wiesz o tem?

— Ale z czasem może się to stać nudnem!

— O nie! Będziemy zawsze mieć temat do rozmowy, bo znamy nasze zapatrywania!

— pisze teraz tylko po polsku. Prócz pedagogiki, którą nazwał „*Chowanna*“ w 3 wielkich tomach, wydał „*Cybernetykę*“ t. j. sztukę rządzenia państwem: rozprawę, umieszczoną w piśmie miesięcznem „Rok 1843“, o stosunku filozofii do teologii. W druku znajduje się obecnie jego Logika, którą nazwał „Myślini“ w 2 tomach, wyjdzie w tym miesiącu. Trentowski pisze piękną polszczyzną, z niesłychaną łatwością, może z zbyt wielką łatwością, przez co dzieła jego noszą piętno pospiechu na sobie, co dla dzieł filozoficznej treści nie jest zaletą. *Napoleon Kamieński* wydał w księgarni Stefańskiego pierwszy Zeszyt „Filozofii ekonomii materyalnej ludzkiego społeczeństwa“, dzieło budowane na nowszych pojęciach filozofii i teoryach państwa. Pismo „Rok 1843“, wychodzące od początku zeszłego roku w księgarni Kamieńskiego w Poznaniu — przeznaczone dla rozpraw naukowych, całkowicie umieszczonych, zawiera rozprawy ważne z obrębu nauk szczególnie filozoficznych, politeycznych, historycznych, literackich i sztuk pięknych wogóle: prócz tego wiadomości miejscowe co do usiłowań umysłowych. Wyszły 4 zeszyty: 6 stanowi tom.

Prócz wspomnianej rozprawy Trentowskiego mieszczą się w niem następujące: „Stanowisko poetów w społeczności“ p. Goszczyńskiego: o kojarzeniu dążeń i prac naukowych w W. Ks. Pozn. p. Augusta Cieszkowskiego, znanego pisarza między filozofami niemieckimi: „O odwadze cywilnej“ przez Karola Libelta, jednego z najzdolniejszych i najwykształceńszych pisarzy polskich: „Przegląd literatury słowiańskiej 1842 r.“ przezemnie; „Rzut oka z historyi na stanowisko Słowian“ p. Jędrzeja Moraczewskiego, autora Dziejów Rzeczypospolitej polskiej do 15 w. (Poznań 1843): „Ogólny zarys nauki Towiańskiego“ p. J. M.; „Pojęcie narodowości“ p. Rymarkiewicza; „O reformach społecznych we Francyi“; „Pierwsze wrażenie podróżnego“ p. Wład. Wężyka, autora „Podróży na wschodzie“ i kilka innych politycznej, literackiej i miejscowej treści. — Pisma inne czasowe utrzymują się na swem stanowisku, i znajome są uczonej publiczności czeskiej.

W księgarni Stefańskiego wyszły prócz tego: „Pamiętniki Franciszka Karpińskiego“, znanego poety polskiego z czasów króla Stanisława Augusta, wydane z rękopismu p. Moraczewskiego. „August z kości“ — dramat bez końca — bezimiennego autora. „Powieści Czajkowskiego“ nowe wydanie. W księgarni Nowej wydaje hr. Raczyński dalszy ciąg „Pamiętników do historyi polskiej 18 w.: też przedrukowuje ważne dzieło Tadeusza Czackiego „O prawach polskich i litewskich“. W księgarni Żupańskiego wyszła prześliczna pieśń Wincentego Pola, pod nazwą: „Pieśń o ziemi naszej“, określenie wyborne charakteru fizycznego i moralnego dawnej Polski. Tenże księgarz drukuje obecnie „Poezye Berwińskiego“, znanego już zaszczytnie autora „Bogunki“ czyli powieści wielkopolskich. Poezye te składają się z wierszy rozmaitej treści i formy i z jednego większego poematu pod tytułem „Don Żuan Wielkopolski“. Jest to satyra w kilkunastu pieśniach na zwyczaje i obyczaje, życie i pożycie wyższych szczególnie domowych i salonowych towarzystw poznańskich. Berwiński ma wiele zdolności i niepospolity poetycki talent. Wiele w poemacie tym, który znam częściowo z rękopismu, znajduje się rzeczy dowcipnych, wybornie oddanych. Nie jest to przecież poemat odpowiedni naszym życzeniom, naszemu duchowi. Satyra się przeżyła, nie wywiera dawniejszego wpływu, rozśmiesza, ale nie poprawia. Satyra przeniosła się dziś w radykalizm rozumowy; prawami z niego wydobytemi i opartą na nich opinią poprawiamy wady społeczeńskie: wystawieniem zaś płodów poetyckich li tylko na wielkich niebotycznych wypadkach, na prawdziwym charakterze i duchu narodu osnowanych podnieść możemy umysły do szlachetniejszych dążności i oczyścić je z drobnostkowych salonowych intryg i plotek, które się tam wszędzie rodzą, gdzie nie masz lub wyższych celów życia lub prawdziwego wykształcenia, a o tem wątpić nie można w poznańskiem. Autor więc mojem zdaniem zapóźno wybrał się z satyrycznym poematem. Nie szumowiny czczego pożycia w salonach, ale krynicę czystą, pełną, pożywną życia narodowego brać nam potrzeba za przedmiot narodowej poezyi. W tym względzie nikt obecnie Wincentemu Polowi nie wyrówna. Najznakomitszym z ostatnich płodów poetyckiej naszej literatury jest „Przedświt“ Gaszyńskiego wydany w Paryżu. Jest to apoteoza Polski wobec narodów. Wyobraźnia tam wielka jak królestwo boże na ziemi, język tak wzniosły i silny jak słowa proroków Chrystusa. Gdyby na karcie nie położono, że autorem jest Gaszyński — powiedziałbym, że nim jest wieszcz Irydyona, ten tylko czuć tak, myśleć tak, tworzyć i pisać umie. Bez żadnego wątpienia Polacy dziś na czele poetycznej wieszczej literatury słowiańskiej.

Drugim poematem dramatycznym, który rąk moich doszedł, jest „Ksiądz Marek“ Słowackiego, rzecz osnowana na wypadku konfederacyi barskiej. Gdyby płomień ten uczucia, który ożywia bohatera dramatu, przelać można w serca księży naszych i naczelników ludu, cuda tworzyć by można na ziemi. Słowacki — najznakomitszy z naszych poetów — chociaż obecnie uczniem Towiańskiego, któremu zatem tylko żywem słowem naukę nową rozpowiadać było wolno, nie mógł zatrzymać w sobie tego nadprzyrodzonego popędu, który go rwie do poezyi. Wdzięczność mu za to winniśmy, bo zdawało się, że Mickiewicz, ów ojciec i piastun nowszych poetów naszych, skupiając ich silną indywidualnością swoją w sektę Towiańskiego, i przemieniając ich z Tyrteuszów narodowych w mnichów modlących się z założonemi rękami, Mickiewicz, mówię, zdawało się, że pożarł jak Saturn dzieci swoje, trzymając podniesioną broń na oswobodzenia świata z ucisku. Nie tak się stało. Słowacki pierwszy zerwał milczenie i jakkolwiek w duchu mistrza śpiewa na nowo, a śpiewa z tem większym ogniem, że go ożywia szał, wzniecony wiarą przyszłego, może blizkiego odrodzenia, wiarą w to, co na gruzach przeszłości powstać musi. Czechy! kiedyż wy wydacie z łona swego poetów waszych, waszych wieszczów — następców Zaboja?*) Wiedzcie, że dopiero wtenczas, gdy takich mieć będziecie — będziecie mieli nowych Żyżków. Tego wam życzy z serca i duszy brat wasz i współpracownik wasz w winnicy pańskiej

W. C.

Berlin, dnia 15 stycznia 1844.

Pozdrowienia i ukłony pp. Szafarzykowi, Palackiemu, Jungmannowi, Preslowi i wszystkim przyjaciołom i znajomym.

*) Z a b ó j jest nazwisko bohatera jednej epicznej pieśni Królodworskiego rękopisu.

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

Listy z Francyi brzmiały coraz gorzej. Autor przytacza korespondencyą swego ojca (Antoniego Andrzeja) pisaną do „*Czasu*“, a wykazującą, iż rząd Napoleona „zamiast widzieć w powtaniu *wybuch rozpaczy bezprzykładnym uciskiem zpowodowany*, przypisuje je podmuchom i natchnieniom grożącym porządkowi i bezpieczeństwu społecznemu“. Dodajmy tu uwagę, że widocznie późniejsi stańczycy, byli na wskroś bonapartystami, bo po upadku powstania pisali się najzupełniej na zapatrywania rządu francuskiego.

Po mowie ministra Billault'a i Barochea, po nowym liście ojca autora, postanowił on z Wodzickim wszelkiemi siłami powstrzymać Galicyę od współudziału w powstaniu, aby mu jak najprędzej koniec położyć. I byliby swego

---

— W każdym razie jest nudniej być niezonatym i niezrozumianym, i smutne pędzić życie!

— To prawda!

— Chcesz pani czasu do namysłu?

— Tak, aż do kotyljona!

— Dłużej nie?

— Na co?

Zaprowadził ją do salonu i odszedł. Potem wypił kilka kieliszków szampana. Podczas kolacyi patrzał na nią uważnie i badawczo. Kazała usługiwać sobie dwom dyplomatom, ale zdawało się, że drwi z nich, obchodziła się bowiem z nimi, jak ze służącymi.

Potem nastąpił kotyljon — poszedł więc natychmiast do niej, i podał jej bukiet.

— Zgadzasz się pani? — zapytał.

— Tak, — odrzekła.

Byli więc zaręczeni!

— To jest dobrane małżeństwo — mówili ludzie — oboje jak stworzeni dla siebie! Równe stanowisko towarzystkie, równe stosunki pieniężne i równy przesyt życia.

Przez „przesyt“ rozumieli ludzie to, że narzeczeni nie lubili balu, teatru, ani żadnych zabaw. Byli oni jak dwie lśniące tabliczki łupkowe, zupełnie do siebie podobne, nie wiedzieli tylko jeszcze, czy życie na obydwóch równe wyryje słowa. Podczas słodkiego czasu narzeczeństwa nie pytali się nigdy wzajemnie: „Kochasz mnie?“ Oni wiedzieli, że się nie kochają, bo nie wierzyli w miłość! Rozmawiali mało z sobą, ale zrozumieli się doskonale.

I tak pobrali się.

On był zawsze grzecznym, uprzejmym i uważającym, i zaprzyjaźnił się szczerze ze żoną. Dziecko, które im się urodziło, nie wpłynęło bynajmniej na zmianę wzajemnego ich stosunku, tylko teraz mieli więcej przedmiotów do gawędki.

Tymczasem poczuł mąż jakieś czynów pragnienie, wiedział, że przyjął na siebie ważne obowiązki, i bezczynność zaczęła go nudzić i drażnić. Żyjąc z procentów, nie szukał posady rządowej — teraz jednak zaczął się oglądać za jakiemkolwiekbądź zajęciem, któreby potrafiło wypełnić stósownie próżnię jego życia. Słyszał wołania zbudzonego ducha i uważał sobie za obowiązek brać udział w pracach, badających przyczyny ludzkiej niedoli. Postanowił więc pracować pilnie i śledzić bieg polityki, i ostatecznie napisał do jednej z gazet obszerny artykuł o kwestyi szkolnej. Wskutek tego zamianowano go członkiem komisyi szkolnej. I teraz zaczął pracować na dobre — wszystkie te pytania musiały być należycie obmyślane.

Baronowa leżała zwykle na kanapie, zajęta Chateaubriandem lub Mussetem. Nie spodziewała się ona wcale, aby się losy ludzkości polepszyły, i aby się ludzie poprawili, ale usiłowała odrzucić wszystko to złe, co stulecia przyniosły ludzkim ustawom i urządzeniom. Równocześnie jednak poznała, że nie może wyrównać mężowi. Byli oni podobni do dwóch ścigających się koni. Przed rozpoczęciem wyścigu ważono je, i uznano za równe sobie — obiecywały, że popędzą razem — wszystko było tak dokładnie obliczone — wszyscy sądzili, że przebiegną arenę i równocześnie staną u celu. Tymczasem teraz mąż wyprzedził żonę o całą długość konia, i jeżeli ona nie zdobędzie się na energią, to nigdy się już z nim nie zrówna. I tak się też stało.

Po upływie roku został baron rewizorem rządowym, i całe miesiące przepędzał po za domem. Teraz poznała baronowa, że go jednak kocha, dowodem tego był szalony strach, że go utracić może.

Gdy wracał do domu, zastawał ją rozpromienioną i uszczęśliwioną, ale głowa jego była przepełniona tylko tem, co w czasie swych podróży widział i słyszał. Poznał też teraz, że nadeszła chwila jakiegoś wewnętrznego rozłączenia się z żoną, ale chwilę tę pragnął zwłóczyć, albo ją zupełnie ominąć. I ukazywał żonie w wielkich, jasnych obrazach urządzenie tej kolosalnej, olbrzymiej machiny, która się rządem zowie, objaśniał jej bieg kół, rozmaitość zmian, liczne haczyki, zepsute wahadła i niepewne wentylatory. Baronowa słuchała przez chwilę, potem czuła się zmęczoną. W poczuciu swej niższości rzuciła się ku wychowaniu dzieci; jako wzór matki chciała pokazać, że i ona prze-

dopięli, gdyby nie zachciało się ich przyjaciołom wysłać do Warszawy Włodzimierza Cieleckiego dla porozumienie się z *białymi*. Przywiózł on odpowiedź: nie łączyć się z powstaniem ale uznać je za narodowe. Była to odpowiedź „niesłychana, najdziwniejsza, jedyna w dziejach". Koźmian przemówił za uznaniem jej „co się nas i Galicyi tyczy za niebyłą". Przekonał większość i pociesza się dzisiaj: „przecież nie straciliśmy jeszcze głowy".

Ale co robić? Oto oszczędzać ofiar niepotrzebnych i zażądać ostatecznego słowa od *Hotelu Lambert*. Jeżeli Napoleon uzna powstanie za potrzebne, należy w nie „się rzucić", a w przeciwnym razie potępić je i „rozjechać się do naszych zatrudnień".

Rozdział III rozpoczyna się odpowiedzią *Hotelu Lambert*. Przywiózł ją umyślny kuryer G. F. Była stanowcza: Napoleon nie myśli obecnie o podniesieniu sprawy polskiej. Mógłby coś zrobić przez zbliżenie się do Rosyi, przez zamierzone z nią przymierze, ale powstanie całą rzecz psuje, cesarza ubezwładnia.

Zaledwie jednak G. F. wsiadł do dorożki, aby udać się koleją do Lwowa, nadszedł telegram z depeszą cyfrowaną: Wszystko zmienione, instrukcye G. F. uważajcie za niebyłe. Trzeba jak najdłużej przetrzymać walkę. Dalsze polecenia listownie". Stało się to 16go Lutego.

Ta depesza stała się przełomem w wypadkach i w działalności *grona krakowskiego*. Okazało się wkrótce, że konwencya Prus z Rosyą z dnia 8go Lutego wpłynęła na zmianę zapatrywań Francyi, Anglii i Austryi na powstanie traktowane dotychczas jako sprawa wewnętrzna państwa rosyjskiego. *Hotel Lambert* uznawał trwanie powstania za niezbędne. List ojca autora, pomieszczony w „Czasie", był niejako komentarzem instrukcyi z *Hotelu Lambert* przesłanych. Przytoczmy z niego parę ustępów, które dla sprawdzenia „niesłychanego, najdziwniejszego, jedynego w dziejach" kontrastu pomiędzy tem, co mówili najbliżsi, przyjaciele i ojcowie *grona krakowskiego* podczas powstania, a co po jego upadku. „Rozpaczliwa walka polska" — są słowa Andrzeja Edwarda Koźmiana — *bohaterstwem i wiarą narodową uświęcona*, coraz żywszy wznieca podziw... *Giną tysiące żadną nieczystą myślą, żadnym nieszlachetnym czynem nie splamione*. Powstańcy, a raczej pognębieni przez rząd rosyjski już skazani nim powstali, *żadnych wśród walki niegodnych sprawy nie chwytają się środków, nie podburzają żywiołów jednych przeciw drugim, nie przyswajają sobie obcych nauk i przykładów...* Giną po polsku i za Polskę ci, których rząd w Warszawie i to mową polską *rozbójnikami* nazywa*)... Walka trzechtygodniowa jest już cudem. Dalszy cud wśród rozpaczy zdolny byłby rozbudzić nadzieję. Rozpacz zapewne zwykle źle doradza, *lecz ta, która do czynu pobudza, mniej niebezpieczna od tej, która sprowadza zwątpienie i niemoc*".

Władze austryackie patrzały przez palce na werbunek do oddziałów powstańczych, istniejąca wówczas cenzura nie przekreślała artykułów o powstaniu — sądzono więc, iż popieranie powstania przez Galicyą odpowiadało widokom gabinetu wiedeńskiego. Rozlepiano wprawdzie obwieszczenia, grożące karą „za wszelkie czynności zmierzające do zdrady głównej lub zamięszania publicznej spokojności, chociażby takowe przedsięwzięte zostały przeciw innemu obcemu państwu", zaostrzono przepisy meldunkowe, dokonywano nawet rewizyi i aresztowań, ale wszystko to wyglądało na ratowanie pozorów. Dzienniki wiedeńskie, nawet półurzędowe, pisały przychylnie o Polsce. Ministrowie austryaccy wyrażali poufnie życzenie, utrzymania się powstania, jako środka, który podnieść może ważność sprawy polskiej dla Europy. Sejm galicyjski odroczono dwukrotnie, aby rozprawy jego nie przeszkodziły rządowi w utrzymaniu wyczekującego stanowiska.

Dowiadujemy się dalej z książki p. Koźmiana, gdzie się znajdował p. Stanisław Tarnowski podczas wybuchu powstania, jak się o niem dowiedział przy śniadaniu, jak zastał w Rzymie Kalinkę, będącego w chwilowem poróżnieniu z *Biurem Hotelu Lambert*, jak pojechał do Paryża dla zasięgnięcia wiadomości, jak się „niezbyt spieszył i zatrzymał po drodze, jak wreszcie przekonał się, że „wypadki są ważniejsze, niż przypuszczał."

Hotel Lambert wobec zmiany w usposobieniu rządu francuzkiego rozpoczął przygotowania do rozpoczęcia walki na większą skalę. Pytał się Ponińskiego, późniejszego jenerała włoskiego, czyby nie objął dowództwa, ten odpowiedział, że nie podejmie się organizacyi i rozpoczęcia wojny bez dobrych podoficerów. Mniej wymagań miał pułkownik Zygmunt Jordan, ale postawił warunek, że nie weźmie się do formacyi oddziału, dopóki Londyn i Wiedeń nie odpowiedzą przychylnie na zapytanie Napoleona: jak się myślą zachować?

Tarnowski wyjechał z Paryża z Jordanem dnia 24 lutego. W Wiedniu widział się z Leonem Sapiehą, który „miał wrażenie, że się zanosi na rzeczy bardzo ważne". Jordan pozostał w Wiedniu, a Tarnowski przybył do Krakowa z wiadomościami i z listowemi instrukcyami *Hotelu Lambert*.

„Odtąd (pisze autor) Ludwik Wodzicki, Stanisław Tarnowski i ja połączeni, szliśmy wspólnie i zgodnie, a ta wspólność i zgodność przetrwać miała opłakane wypadki 1863 r. i zespolić nas w dalszem publicznem i publicystycznem działaniu, w pracy koło kierunku narodowego,*) któremu pozostawiliśmy wiernymi". Brakowało im wtedy „jednego tych późniejszych prac i usiłowań towarzysza", Józefa Szujskiego.

Wspomniawszy Szujskiego, autor poświęca dłuższy ustęp jego osobie. Zboczenie to na pozór niepotrzebne, bo Szujski ani nie zajmował żadnego stanowiska w ruchu, ani też nie miał nic wspólnego wówczas z przyszłymi swoimi przyjaciołmi-politycznemi, z owem *gronem krakowskiem*, które miało przekształcić się w stronnictwo polityczne znane powszechnie pod nazwą Stańczyków. A jednak autor ma swój cel, wprowadzając w tem miejscu Szujskiego, bo wie, że przyjdzie mu w drugiej części *Rzeczy* zaznaczyć jego udział i gorliwość w klubie stańczyków, pragnie więc już z góry osłabić czyniony Szujskiemu zarzut „odstępcy", upozorować gwałtowny przeskok w jego przekonaniach, a co za tem poszło w działalności i karyerze.

Ponieważ ustęp o Szujskim odsłania nam metodę, jakiej się trzyma autor w ocenianiu ludzi i wypadków, przeto nieco dłużej nad nim się zastanawiamy. P. Koźmian nietylko nie zaprzecza, ale owszem zaznacza, iż Szujski „był przez te lata w stosunkach zażyłych prawie serdecznych z różnymi ludźmi skrajnymi, którzy przecież (dodaje zaraz) nie podobali mu się i byli mu podejrzanymi". Interesującą rzeczą zaiste byłoby wyjaśnienie, w jaki cudowny i nadnaturalny sposób można być z kimś w stosunku serdecznym i zażyłym, a jednocześnie nie mieć do niego zaufania, podejrzywać go, źle o nim myśleć. Jestto z logiką niezgodne, ale dogodne, bo pozwala dalej twierdzić p. Koźmianowi, iż Szujski „miał później poczucie, że podczas wypadków 1863 r. zupełnie jednakowo myślał i działał jak my: nieraz i jeszcze w ostatniej chorobie mówił o tych czasach z tem przekonaniem". „Przełom w jego zapatrywaniach i przekonaniach nastąpił w końcu 1863 i 1864 roku". Wprawdzie St. Tarnowski, kolega szkolny Szujskiego, duszy, „nie starał się z nim widzieć, a jeżeli się spotykali nie mówili, ani dłużej ani otwarciej", wprawdzie nawiasem wspomina p. Kozmian, że Szujski wydawał „jakieś" pisemko „*Naprzód*" przytacza nawet fakt, iż *Ława* wysłała go z karabinami do obozu Lan-

*) Mowa tu o artykułach „Dziennika Powszechnego" organu Wielopolskiego.

*) Zapewne chciał autor powiedzieć: p o l i t y c z n e g o.

---

też coś zdziałać potrafi. Ale mąż nie umiał jego ocenić. Ożenił on się z dobrym towarzyszem, a teraz miał dobrą bonę dla swoich dzieci.

I któż miał temu złemu zaradzić, któż mógł to wszystko przewidzieć?

Dom barona zapełniał się teraz nieustannie przedstawicielami kraju i rewizorami i panowie nawet przy obiedzie rozmawiali o polityce, zajęcie zaś baronowej ograniczało się wyłącznie na pilnowaniu służby. Ale baron starał się zawsze o to, aby obok żony jego siedziało kilku młodych sekretarzy, którzy mogliby z nią rozmawiać o teatrze i o muzyce, chociaż i to na nic się zdało, baronowa bowiem odpowiadała im zawsze uwagami, tyczącemi się wychowania dzieci. Przy deserze nie zapomniano nigdy wnieść zdrowia gospodyni domu, ale potem spieszono na łeb na szyję do pokoju gospodarza, aby tam palić cygara i rozmawiać dalej o polityce. Baronowa zaś udawała się do pokoju dziecinnego, i musiała sobie wyznać, że mąż już ją tak wyprzedził, że go nigdy dogonić nie zdoła.

Wieczorami pracował baron bardzo wiele, i pisywał zwykle aż do późnej nocy, ale zawsze przy zamkniętych drzwiach. Jeżeli potem widział żonę z zapłakaną twarzą, to uczuwał jakiś ból w sercu — ale wszakże nie mieli sobie już nic do powiedzenia! Czasem jednak, gdy mu praca zbrzydła i gdy poznawał swoje niedołęztwo, wted czuł próżnię dokoła siebie, i pragnął ciepła i miłości, o jakiej marzył w swoich młodych latach!

Ale każde takie uczucie przytłumiał i uważał za niewierność — posiadał bowiem głębokie poczucie obowiązków względem żony. Chcąc jej trochę uprzyjemnić życie, namawiał ją do zaproszenia jednej z kuzynek, której wprawdzie nie znał, ale o której wiele słyszał. Baronowa dawno już sobie tego życzyła, ale teraz, gdy sprawa miała się rozstrzygnąć, nie chciała o tem ani słuchać. Nie chciała — pod żadnym warunkiem! Mąż żądał, aby mu powiedziała, dla czego tak nagle zmieniła zdanie, ale nie otrzymał na to żadnej odpowiedzi. Wszystko to zwiększyło naturalnie jego ciekawość, to też prosił i pytał dopóty, dopóki mu nie wyznała, że boi się, aby owa kuzynka nie zabrała jej męża, czyli raczej, aby on się w niej nie zakochał.

A więc musi to być jakaś nadzwyczajna dziewczyna, i on musi ją poznać!

Baronowa płakała i przestrzegała, baron śmiał się, i — kuzynka przyjechała!

Pewnego dnia przed obiadem, wrócił baron do domu bardzo zmęczony, jak zwykle. Kuzynkę znał już, i wszelka ciekawość znikła. Potem usiedli do stołu. W ciągu rozmowy zapytał baron kuzynki, czy jest zwolenniczką sceny. „Nie, wcale nie! Rzeczywistość zajmuje ją więcej, opowiadała śmiało, niż ten świat pozorów i złudzenia. W domu urządziła szkołę postępową i założyła Towarzystwo opieki nad wypuszczonymi więźniami.

Brawo! Otóż właśnie kwestya więźniów była teraz na porządku dziennym — może więc dać jakie objaśnienia. I aż do końca obiadu była mowa tylko o więźniach, i kuzynka przyrzekła napisać mały artykuł na ten temat, a baron pragnął go zaraz przejrzeć i wypracować.

I wszystko stało się tak, jak baronowa powiedziała. Pan baron zawarł duchowe małżeństwo z kuzynką i zaniedbał swoją żonę. Ale bo też kuzynka była zanadto piękną! Gdy siedział przy swoim biurku, a ona się nad nim pochylała, czuł z rozkoszą dotknięcie jej miękkiego ramienia i poił się gorącym jej oddechem. I nie zawsze też rozmawiali o więźniach. Mówili też czasem o miłości — ona wierzyła w miłość duszy — i dawała mu bardzo wyraźnie do zrozumienia, że małżeństwo bez takiej miłości jest prostytucyą. Baron nie zbadał dotychczas tej kwestyi, i rzekł, że to wyrok zbyt surowy, chociaż rzeczywiście ma pewną słuszność.

Kuzynka posiadała też jeszcze inne przymioty, które były nieoszacowane dla prawdziwego małżeństwa duchowego. Znosiła dym cygar i sama nawet paliła papierosy. To też po obiedzie towarzyszyła mężczyznom do pokoju,

giewicza, ale zaraz o kilka wierszy niżej twierdzi, iż Szujski „w dalszym ciągu wypadków zbliżał sie kilkakrotnie“ do *grona krakowskiego*, a mianowicie do p. Koźmiana, że kilkakrotnie odwiedzał go w *Biurze* krakowskiem, a nawet podjął w niem niektóre prace.“ Nie mamy żadnej podstawy do niewierzenia tym ostatnim twierdzeniom, ale zawsze radzibyśmy bliżej wiedzieć, kiedy to, jak i w jakim celu zbliżał się Szujski do *grona krakowskiego* i odwiedzał p. Koźmiana i jakie to mianowicie wspólnie z nim podejmował prace — może zresztą rzecz tę autor w drugiej części wyjaśni. W końcu ustępu o Szujskim tłomaczy autor jego ówczesne zapatrywania wiekiem młodzieńczym. Nie wchodząc w to, jaki Szujski więcej nam się podoba: czy ów „młody“, czy ów „późniejszy“ (także młody, bo pomiędzy powstaniem a założeniem „*Przeglądu polskiego*“ mało czasu upłynęło) nie wydając też (w tej chwili przynajmniej) sądu o działalności *czerwonych*, musimy jednak silnie podkreślić, iż jednego z nich, t. j. Szujskiego ani za czerwoność, ani za wiarę w zwycięztwo powstania, autor nie potępia, więc zgodnie z logiką nie powinien potępiać i tych wszystkich, co jednakowo z Szujskim myśleli, jak i tych co przygotowali i prowadzili powstanie. Tak każe sprawiedliwość, ale nie szukajmy jej tam, gdzie istnieje tylko sprawiedliwość dla „swoich“. „Wiek młodzieńczy“ może służyć za wymówkę tylko Szujskiemu i tym co powiększyli szeregi Stańczyków.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szkoła i wychowanie.

Klasycyzm i realizm w Prusiech w walce o szkołę.

Napisał
Romuald Łazęga

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem rosła liczba przeciwników gimnazyalnego wykształcenia mianowicie z powodu trybu nauczania, jaki w gimnazyach klasycznych rozwinął się po roku 1866. Albowiem równocześnie z wzrostem ich liczebnym ożywił się wśród nauczycieli gimnazyalnych niesłychanie ruch umysłowy na polu pedagogicznej teoretyki.

Przekonanie bowiem o zasługach szkoły około podniesienia państwa pruskiego do godności pierwszorzędnej potęgi politycznej w Europie, obudziło w nauczycielach pragnienie podniesienia szkoły pruskiej do jeszcze wyższego stopnia doskonałości. Owocem tego pragnienia było, iż zwłaszcza metoda stała się ulubionym przedmiotem rozpraw treści pedagogicznej, które odtąd rokrocznie zalewać poczęły rynek księgarski. Autorowie ich, zazwyczaj młodzi i pełni wiary w siebie nauczyciele, w rozprawy zasadnicze o najodpowiedniejszym nowoczesnym stosunkom ustroju szkoły wyższej wdawali się rzadko. Że szkoła pruska tak jak jest, jest doskonałą, a gimnazyum klasyczne jej koroną, było dla nich pewnikiem, nie podlegającym żadnej wątpliwości!

Chodziło im więc tylko o wynalezienie metody, którąby w obrębie istniejących stosunków dozwalała osięgnąć jak największe rezultaty. Dążność ta zaprowadziła gimnazya klasyczne na manowce. Odtąd bowiem wyrabiać się po nich począł zabójczy system nauczania, który w przyswojeniu uczniowi jak największego zasobu wiadomości, w dresurze ryczałtowej z równoczesnem ściśnieniem możności indywidualnego rozwoju widzi szczyt pedagogicznej działalności. To też skargi na przeciążenie młodzieży pracą umysłową, które od czasu dra Lorinsera nigdy nie umilkały zupełnie, poczęły się odzywać coraz natarczywiej. Atoli wśród namiętnych walk politycznych, jakich Niemcy ówczesne stały się widownią, społeczeństwu niemieckiemu nie pozostawało czasu do zwracania uwagi na wewnętrzne sprawy szkólne, które wobec spraw takich, jak walka kulturna, jak środki przeciwko wzrostowi socyalnej demokracyi, jak polityka celna i t. p. zdawały się podrzędną mieć wagę.

Dopiero w r. 1880 publiczność niemiecka ocknęła się ze swej apatyi, a pierwszy impuls do tej zmiany wyszedł znowu z kół medycznych. Albowiem w tym roku w lutowym zeszycie pisma peryodycznego, „Die Gegenwart“ pojawił się artykuł, którego autor, dyrektor zakładu obłąkanych w Königslutter dr. Paweł Hasse, donosił, iż w jedynym jednym roku 1879 przyjął on do swego zakładu sześciu uczniów prymy i sześciu uczniów sekundy gimnazyalnej, winę zaś tego zatrważającego zjawiska przypisywał wyłącznie przeciążeniu młodzieży gimnazyalnej pracą umysłową, a mianowicie zbyt jednostronnemu obciążeniu pamięci. Artykuł ten niewielki objętością, wywołał ogromne wrażenie. Wśród publiczczności niemieckiej pojawiła się nagle niechęć względem całego systemu wyższego szkólnictwa w Niemczech, zwłaszcza zaś przeciwko gimnazyum klasycznemu, o której istnieniu krótko przedtem niktby nie był przypuszczał.

Niechęć ta znalazła dosadny wyraz mianowicie w broszurze Hartwicha „Woran wir leiden“, ogłoszonej w roku następnym. Autor jej, młody sędzia w Düsseldorfie, w słowach namiętnych i na efekt obliczonych wydaje wyrok potępienia na cały system „wychowania i wykształcenia, praktykowany po gimnazyach pruskich, jako prowadzący do cielesnej i umysłowej ruiny i wzywa rodziców w imię dobra młodzieży, w imię przyszłości państwa niemieckiego do baczniejszego zajęcia się fizycznem wychowaniem swych dzieci. W tym celu proponuje założenie ogólnego stowarzyszenia ku pielęgnowaniu ciała ze składką kwartalną w wysokości jednej marki. Towarzystwo to miało się rozpadać na sześć sekcyi: 1) na sekcyą dla gimnastyki; 2) sekcyą dla biegania na łyżwach; 3) sekcyą dla zabaw i uroczystości dziecięcych; 4 sekcyą dla kąpania, pływania i wiosłowania; 5) sekcyą literacką; 6) sekcyą medyczną. Zadaniem sekcyi literackiej miało być wydawanie pisma, traktującego o sprawach wychowania, tudzież rozpowszechnianie odnośnych ksiąg i broszur. Sekcya medyczna wspierać miała towarzystwo swemi radami i wskazówkami.

Rozprawa Hartwicha, nieopierająca się w swych rozumowaniach na pozytywnych faktach, okazuje się po bliższem rozpatrzeniu w treść nader ubogą, w wyrażeniach często banalną, w kolorycie zbyt jaskrawą. Mimo to miała tę wielką zasługę, iż zdołała obudzić społeczeństwo niemieckie z jego apatyi wobec spraw szkólnych. Nacisk opinii publicznej był tak wielki, iż go ignorować nie mogły sfery rządzące. To też najpierw namiestnik cesarski Alzacyi i Lotaryngii, jenerał v. Manteuffel, zamianował w prowincyi sobie podwładnej komisyą, złożoną z nauczycieli, ojców uczącej się młodzieży i lekarzy w celu zbadania niedostatków i nadużyć, jakie się wkradły w system wyższego szkólnictwa. Owocem pracy tej komisyi była „Opinia o szkołach wyższych w Alzacyi i Lotaryngii“ ogłoszona oficyalnie w Strasburgu w r. 1882, tudzież zaprowadzenie wielu ulepszeń sanitarnych po szkołach wyższych w latach następnych i oddania ich we względzie sanitarnym pod dozór lekarski.

Równocześnie nastąpiła reforma szkólnictwa wyższego w Prusiech. Reskryptem z dnia 31go marca 1882 minister v. Gossler wszystkim szkołom wyższym nadał nową organizacyą. Głównem jej znamieniem była przedewszystkiem nowa ich klasyfikacya i ściślejsze rozgraniczenie ich planów naukowych, a zarazem wyraźna tendencya do wyrównania różnic, dzielących do owego czasu gimnazyum klasyczne i szkołę realną I rzędu. W pierwszym względ-

---

w którym palono cygara i rozmawiano o polityce, i tu była prawdziwie zachwycającą. Czasem uczuwał baron lekkie wyrzuty sumienia, wstawał i udawał się na chwilę do żony, do pokoju dziecka, ucałował oboje i zapytywał, jak się miewają. Baronowa przyjmowała to z wdzięcznością, ale szczęśliwą nie czuła się wcale, baron zaś wracał w wybornym humorze do swego towarzystwa, zdawało mu się bowiem, że wypełnił sumiennie wszelkie obowiązki względem żony.

Tymczasem nadeszła wiosna, a kuzynka bynajmniej nie myślała o powrocie do domu — przeciwnie nawet — pojechała z nimi do wód. Tu urządziła na korzyść miejscowych teatr amatorski, w którym występowała razem z baronem, naturalnie, jako para narzeczonych. To dolało oliwy do ognia; kwestyą więźniów odłożono ad acta, zajęto się kwestyą miłości, ale była to tylko miłość idealna: wspólne interesa, równe zdania i być może — równe usposobienia.

Baronowa miała dosyć czasu do obmyślenia swego położenia. Pewnego pięknego dnia rzekła też mężowi, że byłoby bezwątpienia lepiej, aby się rozwiedli, miłość ich bowiem i tak się już skończyła. Ale on rzeczywiście nie życzył sobie tego, i zaczął udawać ogromną rozpacz. Żądał, aby kuzynka wyjechała, i przyrzekał żonie, że dowiedzie ludziom, że jest człowiekiem na wskroś honorowym!

Kuzynka więc powróciła do domu, ale teraz rozpoczęła się korespondencya. Z początku musiała baronowa czytać wszystkie listy, pomimo, że tego nie chciała, i że czyniła to tylko na wyraźne żądanie męża. Ale w końcu uznał on, że żona miała słuszność, i czytał listy sam. Niedługo potem przyjechała kuzynka znowu, i teraz wybuchły płomienie z całą potęgą! Baron przekonał się, że już bez niej żyć nie może. Cóż tu robić? Rozstać się z nią? To znaczyło tyle, co umrzeć! Żyć zaś w dali w ten sposób, jak dotąd, było dla niego niemożliwem. Więc rozwiązać małżeństwo swoje, które teraz i podług jego zdania było prostytucyą i ożenić się z kuzynką? Tak — to był jeszcze najuczciwszy sposób wyjścia z tego fałszywego położenia, ale zadawał ciężki ból sercu.

Kuzynka jednak nie chciała się na to zgodzić! Nie życzyła sobie wcale, aby ludzie mówili o niej, że zabrała innej męża, a przytem, co za skandal!

Ale baron twierdził, że postępowanie takie względem jego żony było co najmniej nieuczciwem — nie powiedzieli jej bowiem ani słowa o tem, i cała ta sprawa trwała dalej, nikt zaś nie wiedział, jak daleko jeszcze zajść może!

— Co to właściwie ma znaczyć owe: jak daleko jeszcze zajść może?

— Tego przewidzieć nie można?

— Ależ to jest niegodziwie! Co on rzeczywiście o niej myśli?

— Że jest kobietą.

Potem rzucił się przed nią na kolana, i powiedział jej, że wszystkie szkoły i wszyscy więźniowie ani krty go nie obchodzą, niech sobie będą czem chcą — on tylko to jedno wie, że ją szalenie kocha!

Wtenczas ona oburzyła się na niego i zdawało jej się nawet, że teraz nim pogardza, a nie chcąc się narażać na więcej podobnych zajść, wyjechała natychmiast do Paryża. Ale on podążył za nią, i z Hamburga napisał do żony, oznajmiając, że już do niej nie wróci, i że żąda rozwodu, ponieważ oboje popełnili omyłkę, która, chociaż nie jest niemoralną, to jednak musi być o ile możności naprawioną.

(Dokończenie nastąpi).

dzie zamiast dotychczasowych sześciu kategoryi szkół: gimnazyum, progimnazyum szkoły realnej I rzędu, szkoły realnej II rzędu, szkoły realnej bez łaciny i wyższej szkoły obywatelskiej, podług nowych planów było ich siedm t. j. gimnazyum klasyczne, progimnazyum klasyczne, gimnazyum realne, wyższa szkoła realna, progimnazyum realne, szkoła realna i wyższa szkoła obywatelska. Zbliżenie gimnazyum klasycznego i realnego pod względem planu naukowego nastąpiło kosztem łaciny i greckiego w pierwszem, a kosztem matematyki i nauk przyrodniczych w drugiem. Z zaoszczędzonych tym sposobem 11 godzin języków starożytnych i 3 innych przedmiotów przydzielono w gimnazyum klasycznem 1 godzinę językowi niemieckiemu, 4 francuzkiemu, 3 historyi, 2 rachunkom i matematyce, 2 historyi naturalnej i 2 fizyce. Równocześnie podniesiono w gimnazyum realnem ilość godzin łaciny o 10, na co odstąpić musiały nauka religi 1 godzinę, język niemiecki 2, matematyka 3, nauki przyrodnicze 4 godziny. Kosztem tych obustronnych koncesyi uzyskano plan, nadający przynajmniej trzem najniższym klasom obudwóch zakładów jednolitą organizacyą, przez co osiągnięto tę ważną korzyść, iż w pierwszych trzech latach przejście z gimnazyum klasycznego do gimnazyum realnego i odwrotnie nie ulega zbyt wielkim trudnościom. W zasadzie jednakże pozostało wszystko po dawnemu: podstawą gimnazyum klasycznego pozostały języki starożytne, na które z pomiędzy 268 lekcyi tygodniowej nauki przypadało 117, podstawą gimnazyum realnego były języki nowożytne i realia, na które z pomiędzy 280 lekcyi nauki ogólnej przypada 192.

Reforma z r. 1882 była, jak to widoczna na pierwszy rzut oka, rodzajem kompromisu pomiędzy dwoma kierunkami, występującemi do walki o posiadanie szkoły. Znalazła ona też los zwykły kompromisów t. j. niezadowoliła ani zwolenników klasycyzmu ani jego przeciwników. Nie zapobiegła ona też bynajmniej istniejącemu po szkołach wyższych w ogólności, a w szczególności po gimnazyach klasycznych przeciążeniu pracą umysłową. Że bowiem w tym względzie nie nastąpiło skutkiem nowych planów żadne polepszenie, to przyznawali nawet tak gorliwi obrońcy systemu wychowania klasycznego jak dyrektor Steinbrecht, który w swoich „Betrachtungen ueber unser klassisches Schulwesen“ (Kreuzburg 1882), biorąc zresztą gorąco w obronę zagrożoną sprawę klasycymu w Niemczech, przyznaje, iż uczeń wyższych klas gimnazyalnych potrzebuje codziennie co najmniej 10 godzin pracy, szkólnej i domowej, aby wydołać swym zadaniom, i że zatem następujący podział dnia staje się dla niego koniecznym:

8 — 12 szkoła.
2 — 4 szkoła.
5 — 8 praca.
9 — 10 praca.

t. j., iż mu nie pozostaje ani chwilki czasu do spaceru, do życia rodzinnego i prywatnej nauki.

To też opozycya przeciwko gimnazyom klasycznym nie ustaje bynajmniej po roku 1882. Widać to z ilości broszur, pism ulotnych i dziennikarskich artykułów, która w tych czasach powiększyła się do tego stopnia, iż dokładna ich kontrola stała się niemożliwą. Równocześnie spór się pogłębia i już nietylko sprawa przeciążenia młodzieży pracą umysłową, ale zasada sama, klasycyzm jako podstawa wyższego wykształcenia, stanowi przedmiot publicznej dyskusyi. Sygnał do tego zwrotu dał już dawniej profesor gimnazyum realnego w Duisburgu Schmeding, którego niewielka rozprawka „Zur formalen Bildung“ poddaje niemiłosiernej krytyce twierdzenia o niezrównanym wpływie studyum języków starożytnych na formalny rozwój władz umysłowych młodzieńca, przytaczane przez zwolenników klasycznego systemu wychowania jako główny argument na udowodnienie konieczności zachowania klasycyzmu jako podstawy wyższego wykształcenia młodzieży. Jego myśli podejmują inni i tym sposobem w miejsce ogólnikowych zarzutów i wykrzykników, jakimi dawniej walkę po części prowadzono, wstępują wywody racyonalne i na obserwacyi, na naukowym eksperymencie oparte.

I tak rektor szkoły w Guetersloh Doerpfeld w swej wielce ciekawej broszurze p. t. „Didaktischer Materialismus“ (Guetersloh 1886) wykazuje całą nicość, ba, nawet szkodliwość dążności, jaka się w szkólnictwie pruskiem wyrobiła w czasach ostatnich do opychania ducha młodzieży jak największą ilością najróżnorodniejszych wiadomości i wiadomostek i obciążania jej pamięci kosztem równomiernego rozwoju innych władz umysłowych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z sali sądowej.

Bohaterem ubiegłego tygodnia w Krakowie był Dr. Józef Orłowski, redaktor a właściwie wydawca „Kurjera Polskiego“, stojący przed trybunałem przysięgłych jako oskarżony o podpisywanie na wekslach nazwiska hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, o sprzeniewierzenie weksla na 3 tys. złr. p. Kazimierzowi Ostaszewskiemu, a wreszcie o występek popełniony przez to, iż mimo niemożebności zaspokojenia wierzycieli, tudzież mimo, że stan bierny jego majątku był znacznie większy od stanu czynnego, nie zgłosił ustawą przepisanego konkursu, lecz dalej zaciągał długi.

Zainteresowanie się rozprawą było dość spore, ale tak akt oskarżenia jak i sama rozprawa zawiodła, że tak powiem, oczekiwania publiczności, która była przygotowaną na cały szereg nadzwyczaj interesujących szczegółów, na formalną powieść kryminalną à la Gaboriau, a usłyszała suche wyliczanie różnych sum pieniężnych i jeszcze suchsze zeznania świadków. Ustaliło się też przekonanie, iż proces został przeprowadzony więcej p r o f o r m a, aniżeli z chęcią wykazania całej bardzo charakterystycznej działalności obwinionego. Przypuszczają też niektórzy, że niechciano rozmazywać faktów, które rzuciłyby nieslychanie dziwne światło na pewnych ludzi i pewne stronnictwa, które udzielały poparcia oskarżonemu bez wiary w jego wartość moralną, lecz z wiarą, że przy pomocy jego osiągną cele partyjne.

Pozwolę sobie przeto nie trzymać się aktu oskarżenia i przebiegu rozprawy, a podać w krótkim, ogólnikowym zarysie dzieje „K u r j e r a P o l s k i e g o“ które stały się przyczyną obecnej rozprawy sądowej.

W roku 1888 przybył ze Lwowa do Krakowa pan Józef Orlowski i pracował w kancelaryi adwokackiej. O przeszłości jego krążyły bardzo niepochlebne wieści — o ile słuszne, nie chcę rozstrzygać. Żył bardzo przyzwoicie, nawet na młodego człowieka dość wystawnie, lubo nie miał żadnego majątku, a dochody jego mogły starczyć zaledwie na skromne utrzymanie. Są setki dowodów na to, że wyzyskiwał kredyt na dość znaczną skalę, nie cofał się przed rozmaitemi manipulacjami, niekoniecznie zgodnemi z etyką.

W roku 1889 nie mając żadnych funduszów założył pismo codzienne. Do prowadzenia jego brakowało mu trzech rzeczy: pieniędzy, fachowości redakcyjnej i pojęcia o prowadzeniu administracji. Wprawdzie wydał przedtem parę tomików poezyj i powieści ludowych, ale były to rzeczy małej wartości literackiej, i które wreszcie, gdyby nawet były genialne, nie miały nic wspólnego z potrzebną do prowadzenia pisma rutyną dziennikarską. Zdawałoby się zgodnie z zasadami logiki, iż pismo w tych warunkach powstałe, nie przetrzyma jednego miesiąca. A jednak istniało blizko przez cztery lata. Wydawca i redaktor wywiesił sztandar katolicko-konserwatywny, lubo przeszłość jego z tym sztandarem nie miała nic wspólnego. Ludzie najpoważniejsi nie pytali się, kto jest p. Orłowski, co wart, czy ma zdolności dziennikarskie, a tylko myśleli nad tem, czy K u r y e r przez swą taniość nie zdoła stać się groźnym konkurentem dla „N o w e j R e f o r m y.“ Wydawca sprytem swoim, nie redakcyjnym lecz osobistym, umiał w nich wmówić wiarę w powodzenie pisma i pognębienie przeciwnika, umiał wreszcie przedstawić siebie jako obrońcę a nawet męczennika idei, kiedy wydobyto na jaw rozmaite nieciekawe z jego życia epizody. I stała się rzecz dziwna: człowiek 25-cioletni, ze złą opinią, bez wyobrażenia o prowadzeniu dziennika, kompromitujący się prawie na każdym kroku (okazało się się n. p., że nie jest doktorem prawa, za jakiego się podawał i jakim się podpisywał) zdołał u siebie gromadzić ludzi nazwisk historycznych, uczonych, wysokich stanowisk społecznych i t. p. Na przyjęciach urządzanych przez niego widziano największe powagi, które miałyby sobie za ujmę przestąpić progi ludzi dojrzałych, nieskazitelnych, uzdolnionych, pracowitych, lecz biednych i cichych. Naturalnie każdy z nich płacił jeszcze gotówką za zaszczyt, że wzmocnił zdrowie redaktora K u r y e r a.

A znajdowali się pomiędzy niemi ludzie bardzo zacni i prawi, którzy w cztery oczy wyrażali się jak najgorzej o gospodarzu, a jednak przez jakieś wprost obłąkanie partyjne, zasłaniali go swemi osobami.

Kredyt jednak dostarczany przez powagi nie pokrywał i w 10tej części ciągłego deficytu „Kuryera“ i wydatków jego właściciela, który na reprezentacyą pisma nie szczędził żadnych ofiar z cudzej kieszeni. Nie było prawie człowieka zamożniejszego, do któregoby Orłowski o kredyt się nie udawał i (znów dzięki stosunkom miejscowym) udawał się najczęściej nie bez rezultatu. Ten myślał zostać radzcą miasta, tamten pragnął, aby o nim pisano, trzeci szukał dla pewnego interesu reklamy, czwarty obawiał się wykrycia sprawek lub prostej napaści i t. d. Kto nie chciał podpisać weksla na 1000 złr., ten podpisał na 200 złr., a często wykpił się 50cioma złr. gotówką, ale zawsze prawie coś dał. Naturalnie, że w tych stosunkach zmuszony uganiać się codziennie za pieniędzmi, wydawca nawet praktycznie dziennikarstwa uczyć się nie mógł. W redakcyi był też chaos nieopisany — współpracownicy ciągle się zmieniali — zrywali z pismem, powracali, każdy pisał, co chciał i jak chciał. O jakiejś konsekwencyi w przeprowadzeniu zasad ani mowy być nie mogło. Dość powiedzieć n. p. że pismo, które od czasu do czasu przyjmowało wybitnie barwę antisemicką, było jedynem pismem w całej Galicyi, które wzięło w obronę sprawę podhajską, to jest wydzierżawienie Lilienfeldom przez Tow. ubezpieczeń wielkich dóbr Podhajeckich. Redaktor zaledwie parę razy na miesiąc wiedział co będzie w dzienniku; często bardzo nawet już wydanego numeru nie czytał. Personał redakcyjny doszedł z czasem do 20 osób, których połowa nie była biegłą w ortografii. Znalazłeś tam ludzi wszelkiego stanu na dziennikarzy przerobionych, a z małemi wyjątkami każdy z nich pisał, jak chciał. Ktoś scharakteryzował te stosunki mówiąc, że to była republika: charakterystyka zła, bo to była zupełna anarchia. A wszystkich tych ludzi nie ożywiał jeden duch, bo każdy prawie był z „innej beczki.“ Pracowali obok siebie: katolicy, konserwatyści, liberali, antysemici, semici, zwolennicy partyi ludowej, pozytywiści, idealiści, słowem jak w Arce Noego, każdego gatunku było po parze. W pewnych chwilach przez parę tygodni, lub przez miesiąc na rok następował nagle porządek i wówczas wychodziło kilka lub kilkanaście numerów dobrze obmyślanych i zredagowanych, zupełnie dobrych — było to zwykle usiłowaniem jakiejś jednostki, która chwilowo władzę objęła, ale wnet redaktor przestraszał się „tej rosnącej władzy“, podejrzywał ją o zamach stanu, zniechęcał — i wszystko szło po dawnemu — bo jedynem marzeniem p. O. było mieć pozory wszelkiej władzy. W aktach dziennika znajdowały się całe stosy dokumen-

tów, będących formalnem przeprowadzeniem śledztw z członkami redakcyi i administracyi. Redaktor udzielał posłuchań w formie przepisanej, zaprowadził księgę, w której pomieszczał swoje „pisma odręczne“ w tonie monarchicznym zestylizowane, urządzał od czasu do czasu istne sesye parlamentarne, chaotyczne i do niczego nie prowadzące, ale w których była lewica, prawica i centrum, a on sam występował jako reprezentant władzy. Byli szefowie sekcyi i sekretarze różnych kategoryi. Urzędy zmieniały się ciągle: szef działu ekonomicznego zostawał nagle przeniesiony na szefa sekcyi muzycznej i teatralnej — i odwrotnie. Niektórzy członkowie redakcyi (zwłaszcza ci nieortograficzni) podpisywali dokumenty, któremi zobowiązywali się do posłuszeństwa, karności, ulegania bezwzględnego woli wielkorządzcy dziennika, a nawet do zawiadamiania go... o rewolucyjnych zachciankach współtowarzyszów. Niektórzy członkowie administracyi przed krucyfiksem i przy zapalonych świecach przysięgali na wierność swojemu monarsze. Była nawet instytucya szpiegów, kryjących się pod drzwiami gabinetów restauracyjnych dla podsłuchiwania współpracowników. Śmieszności te wprowadzały jeszcze większy nieład, bo nikt prawie nie traktował rzeczy na seryo, lecz bawił się jak w komedyi. W administracyi działo się toż samo — było dużo ludzi, nie było ani jednego administratora, wydawca nie pilnował porządku, wydawał tylko i zmieniał rozporządzenia, udzielał audjencyi, szafował nominacyami i dymisyami, przenosił z urzędu na urząd, podwyższał i zniżał pensye, — ale nigdy niczego nie kontrolował.

Przy takiem prowadzeniu dziennika, przy chaosie redakcyjnym i administracyjnym, wydatki rosły niepomiernie. Wydawca nie przestraszał się nigdy kosztownemi przedsięwzięciami, choć wiedział, że w kasie dziennika są pustki. Wydawał n. p. ilustrowane numery okazowe w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy (nawiasem mówiąc administracya zaledwie część ich rozesłała, a reszta leżała dopóty na strychu, czy w komórce, dopóki nie została sprzedaną na masło). W r. 1892 wpadł Orłowski na myśl wprost idyotyczną założenia filii dziennika we Lwowie, aby być jednocześnie lwowskim i krakowskim redaktorem; zabawka ta kosztowała 20,000 złr. i filię zwinąć trzeba było. Jak tylko był grosz w kieszeni wydawca żył jak pan. Wyprawiał kolacyą za kolacyą, rozrzucał pieniądze, robił kosztowne prezenta, dawał hojne składki, nie siadywał na redakcyjnym fotelu w teatrze, ale kupował dla siebie lożę, nie szczędził bukietów artystkom, rozbijał się jak magnat po Wiedniu i Warszawie, na same dorożki wydawał po 1000 złr. rocznie, bawił się w mecenasostwo sztuki, wspierał nawet pewne osoby, o których wiedział, że będę jego wspaniałość głosiły.

Podczas wystawy w Pradze urządził wspólną wybieczkę, w której za półdarmo brali udział zgłaszający się, a do której własnym kosztem, a właściwie swoich wierzycieli, przyłączył część trupy teatralnej i członków Towarzystwa śpiewackiego; wycieczka ta pochłonęła przynajmniej 2,000 złr. W najgorszej chwili, kiedy cały gmach już się rozpadał, wyprawił swoim kosztem wesele jednemu ze współpracowników. Dla pokrycia tych wydatków niedostateczny był cały kredyt, jakim rozporządzał. Wynalazł więc sobie od samego początku *Kurjera* główne źródło dochodów w osobie p. Adama Ostaszewskiego. Człowiek ten zamożny, ale nie milioner, stracił na „*Kujerze*“ koło 150,000 złr. t. j. dwie trzecie swego majątku. Przy rozprawie nie pytano go jak przyszedł do takiej straty nieodpowiedniej swemu położeniu materyalnemu. Gdyby pytano, dowiedzianoby się bardzo ciekawych rzeczy, wobec których fakta z oskarżenia zajęłyby stanowisko drugorzędne. To pewne, że p. Ostaszewski ani przypuszczał, że się na tak wysoką sumę zaangażował. Kiedy się opatrzył i źródło wyschło, puścił się Orłowski na cały szereg manipulacyi nadzwyczaj ryzykownych. Nie będąc prokuratorem nie będę odsłaniał tajemnic tego rodzaju, o których wyjście na jaw przed sądem nie starano się. Ogólna suma pieniędzy, które w ciągu półczwarta roku poszły na „Kuryera“ i jego wydawcę, wynosi koło 250,000 złr. t. j. tyle, ile by wystarczyło na pokrycie deficytu „*Czasu*“ przez lat 30, t. j. przeszło dwa razy więcej ile kosztuje wydawnictwo „*N. Reformy*“ przez lat dwanaście. A przeciez była chwila, w której „Kuryer“ przy dobrej administracyi i redakcyi, mógł był już nietylko opłacać się, ale i niejako przynosić zyski.

Zaznaczyłem, iż proces czynił wrażenie jakoby starano się jak najmniej grzebać w śmietniku „*Kuryera*“. Szło najwyraźniej o niekompromitowanie pewnych osób. Dla oskarżonego stworzono przez to bardzo dogodne położenie. Dogodność tę zwiększyły dziwnie chwiejne zeznania hr. Wojciecha Dzieduszyckiego co do owych weksli stanowiących główny punkt oskarżenia. Więcej wyraźną okazała się sprawa sprzeniewierzenia wekslu na 3 tyś. złr. p. Kazimierza Ostaszewskiego, brata Adama. Oskarżony bowiem mając polecone ten weksel spieniężyć i odesłać pieniądze panu K. O. dał go w zastaw za pobraną przez siebie pożyczkę. Trzeci punkt oskarżenia (lekkomyślne bankructwo) został osłabiony przez to, iż sąd nie rozróżnił dostatecznie kwot udzielanych w formie kredytu na poparcie „*Kuryera*“, a ściśle osobistych długów oskarżonego.

Nie rozdzielono też całkiem deficytu „*Kuryera*“, od wydatków osobistych jego wydawcy. Wskutek tego oskarżony cały kredyt jemu udzielany i *Kurjerowi*, wszystkie wydatki swoje i Kurjera zrzucił na koszta wydawnictwa. Nie ulega zaś wątpliwości, że jeżeli ktoś daje pieniądze lub swój kredyt dla podtrzymania pisma, mającego rozpowszechniać pewne zasady, a nie opartego na żadnej podstawie materyalnej, ten z góry zdaje się twierdzić: daję na niepewne, gwarancyi żadnej nie mam, zwrot mego kapitału będę miał przynajmniej po części, w zyskach moralnych; kierunek pisma uważam za dobry, a dobra ogólnego bez ofiar pieniężnych przeprowadzić się nie da. Oskarżony też to wyzyskał, przedstawił się jako męczennik idei, dla której ciężko pracował bez własnej korzyści. Ilustrował też swoje niepowodzenie opowiadaniami o mniemanych swoich wrogach, o knowaniach przeciw niemu w łonie samej redakcyi „o trzęsieniu ziemi“ pod nim, o opuszczeniu ze strony przyjaciela (A. Ostaszewskiego) o podkładaniu ognia przez domowników. Był on ofiarą tych prądów co obalają tradycyę i podstawy naszego istnienia, wystąpiły one przeciw obwinionemu w nieludzki sposób byle go zgubić, gdy zarysowała się jego działalność, która miała jeden tylko cel na oku: „dobro ojczystej ziemi“.

Prokurator w ciągu rozprawy nie wniósł ani razu zażalenia nieważności, to znaczy, że wobec wyroku uniewinniającego, z góry się zrzekł prawa żądania ponownego rozpatrzenia sprawy.

Wprawdzie w końcowem przemówieniu obrzucał prokurator oskarżonego różnemi epitetami, nie brakowało nawet i „rzezimieszka“, ale ograniczając się na faktach aktu oskarżenia, nie wydobywszy z rozprawy tego, co wydobyć się dało, nie mógł rozwinąć dostatecznej charakterystyki działalności oskarżonego.

Obrońcą Orłowskiego był jeden z najdzielniejszych adwokatów krakowskich dr. Abłamowicz, co naturalnie musiało zaważyć na szali. Wyzyskał chwiejność zeznań hr. Dzieduszyckiego, przedstawił weksel W. Ostaszewskiego jako nie przedstawiający realnej wartości, oparł się wreszcie na paru urojonych summach przedstawiających mniemaną a wysoką wartość materyalną *Kuryera*, sprowadził wreszcie *ad minimum* wierzetelności pisma i wydawcy, odejmując od rachunkowego wykazu te sumy, które poszły na „idee“ na „zasady“. Zastósował też maksymę: murzyn wypełnił swoją powinność, niech murzyn idzie precz.

Naturalnie obrońca, jako taki, był w prawie użycia tej maksymy, która w innych ustach dziwnie by wyglądała. Nikt bowiem Orłowskiemu nie narzucał obowiązków; ludzie tych zasad, jakie miało przedstawiać pismo, wciąż istnieją, a więc nie uważają pisma redagowanego w tym kierunku za niepotrzebne; murzyna całkiem nie oddalili, tylko nie chcieli dawać pieniędzy na rzucanie w błoto, przekonawszy się aż nadto dobrze z kim mają do czynienia.

Oskarżony bronił się tak samo w ostatniem przemówieniu, jak i podczas rozprawy. Twierdził, że go najpoważniejsi ludzie zachęcali do założenia dziennika, pragnąc go widzić „na czele prądu“. Co do hr. Dzieduszyckiego przypisywał melancholji zapomnienie o wekslach. Pan Kazimierz Ostaszewski miał mu dać niby jakąś gwarancyą utrzymania filji we Lwowie, co go upoważniło do zatrzymania wekslu, tem więcej, że mu wiele usług świadczył: Opowiadał bajeczki o utworzeniu redakcyi z sił najlepszych, co go wiele kosztowało. Siły te zamiast pracować, walczyły ze sobą. Wogóle okazał oskarżony wielki zasób fantazyi mówiąc o stosunkach wewnętrznych „Kuryera“ i o swojej pracy dla dobra zasad. Chociaż wspominał o tem w czasie rozprawy, nie wezwano nikogo z kompetentnych, któryby musiał w niwecz fantazye te obrócić. Aby dać miarę polotu tej fantazyi dość przytoczyć twierdzenie oskarżonego, iż rządy rosyjski i niemiecki z niecierpliwością wyczekują wyniku rozprawy, bo jeżeli sędziowie oskarżonego nie uniewinnią, to oba te rządy zyskają nową broń w szkalowaniu naszego narodu wykazując, że ludzie tak wybitnych stanowisk popełniają fałszerstwa i oszustwa. Jako pendant do tego służyła zapowiedź, że oskarżony powołany jest do „szerokiej akcyi politycznej“ i pokaże za lat kilka swoim wrogom, co dokazać umie. Jestto zupełnie zgodne z tem, co Orłowski mówił sam o sobie na początku rozprawy, nazywając siebie człowiekiem wielkiej inteligencyi i ogromnych zdolności.

Do charakterystyki jego obrony w czasie rozprawy należy dodać dwa epizody. Kupił od Zygmunta Kaczkowskiego powieść „Zaklika“ i naturalnie nie zapłacił. Co więcej, zrobił wbrew umowie odbitki i sprzedał księgarni Zwolińskiego. Przy omawianiu tej sprawy zauważył, iż Kaczkowski uczynił mu krzywdę, bo z trylologii, z trzech powieści osnutych na tle powstań narodowych, dał mu najgorszą, najnudniejszą. A więc według logiki nie on zarwał Kaczkowskiego, lecz Kaczkowski go oszukał. Druga odpowiedź również klasyczna. Oskarżony stwierdził, że stać go będzie na to, aby długi popłacił. Z czego? pyta z uśmiechem przewodniczący, — wszak nie tak łatwo dorobić się majątku? — „A Jerzmanowski w Ameryce?“ odpowiada pytaniem zapytany. Nie potrzeba dodawać, że ogólna wesołość zapanowała na sali.

Wobec przytoczonych powyżej korzystnych warunków dla oskarżonego, przypuszczano ogólnie, że się jako tako „wykręci“, ale wynik głosowania sędziów przysięgłych przeszedł wszelkie oczekiwania. Pytaniom tyczącym się weksli jednocześnie zaprzeczyli, zaprzeczyli również, lubo już nie jednogłośnie, pytaniu: „czy oskarżony popadł w niewypłacalność, a nie może wykazać, że tylko przez nieszczęśliwe wypadki i bezwinnie popadł w niemożność zaspokojenia swoich wierzycieli?“ Zaprzeczenie temu ostatniemu pytaniu powinno być jako c u r i o s u m pomieszczone w dziejach sądów przysięgłych.

Loiczne konsekwencye usposobienia Orłowskiego są następujące:

a) Hr. Wojciech Dzieduszycki powinien zająć celę Orłowskiego, jako krzywoprzysięzcabóć pod przysięgą zeznawał, że jego podpisy na dwóch wekslach są fałszywe.

b) P. Kazimierz Ostaszewski wykupić musi weksel na 3000 złr., bo go Orłowski według wyroku sędziów nie sprzeniewierzył.

c) prokuratorya nie będzie mogła wytaczać procesów o niewypłacalność, bo okazuje się, że kredyt nawet w ten sposób zaciągany, jak przez Orłowskiego, jest wolnym od wszelkiego zarzutu.

Instytucya sędziów przysięgłych często spotyka się z zarzutami. Wynik procesu Orłowskiego przeciwnikom jej przysporzy silnego argumentu.

Z estrady i sceny.

(Bojczarki. Komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego).

Nie lubię pisać o talentach, których twórczość jest jak linja horyzontalna, nie wznosi się, nie opada, zawsze równa i monotonna, Są one dla mnie przeczytaną książką. Układają cegiełki w różne wiązania i kształty, ale znam już materyał i formę kamieni, znam szemat architektoniczny, który drobnym tylko ulega zmianom i w tem lub innem zastósowaniu ujawnia zawsze równe właściwości stylowe, równe zalety i błędy. Nie ma tam tej interesującej pogoni za nowemi tajemnicami duszy ludzkiej, tego szukania nowych form i torów, tej wiosennej świeżości i siły młodych talentów, które dla krytyka przedstawiają obfite zródło obserwacyi i ciekawy temat analizy. Są to skamieniałe rośliny, — zakrzepłe ciała, sunące szybko po gładkiej drodze rutyny.

Takim talentem jest dzisiaj Michał Bałucki, którego „*Bajczarki*“ zapoczątkowały premiery poznańskie w bieżącym sezonie. Jeżeli prawdziwem jest zdanie Sarceya. że jedynie miarodawczą instancyą krytyczną jest sama publiczność teatralna, to sztuce komedyopisarza naszego należy przyznać wartość niepospolitą. Słyszałem bowiem grzmiące oklaski, serdeczne objawy wesołości, głośne zachwyty w przedsionku teatralnym i t. p. świadectwa szczerego zadowolnienia. Zdaje mi się jednak, że zdanie takie prawdziwem być może poniekąd w Paryżu, gdzie nietylko loże i krzesla, ale właśnie górne piętra zajmuje publiczność o wyrobionym smaku artystycznym, lecz u nas garstka widzów zaledwie ściga bieg sztuki i grę artystów źrenicą subtelniejszego krytyka, a gros publiczności hołduje tanim efektom, zręcznie powikłanej intrydze, drastycznemu humorowi i łzom melodramatycznym. Przypominam tylko, że utwory północnych pisarzy, grane kilkadziesiąt i kilkaset razy w londyńskich i berlińskich teatrach, schodziły u nas z repertuaru wśród śmiertelnej ciszy, nie prześcigając muszki-jednodniówki długością życia scenicznego.

Sarceyowskie „vox populi“ jest w rzeczach sztuki nader elastyczną receptą, a nie hołdując giętkiej maksymie francuskiego estetyka, nie mogę w poczet wybitniejszych utworów scenicznych zaliczyć sobotniej premiery. Ten sam Bałucki, którego szerokie, wesołe oblicze widzieliśmy w „Grubych rybach“ i „Domie otwartym“, ten sam komedyopisarz, który w półdramatycznym „Flircie przemawiał do nas śmiechem i — trucizną, ten sam jowialny i zręczny, ale skostniały autor krakowski znowu się do nas znajomą nutą odezwał. Do małego światka, w którym tak żywo i zgrabnie obracał się zawsze, ani jeden typ nowy nie przybył. Znamy tego pana Grubalskiego i panią Wścibińską, znamy Morwę i żoną jego, znamy Klonowskich i Szczypkowskiego i Pafcia. Wszystko to dawni znajomi, a przynajmniej ich blizcy kuzyni. Mówią oni do nas szlachetczczyzną i małomieszczaństwem krakowskiem — tymsamem widnokręgiem, myślą, uczuciem i otoczeniem jak dawniej. Są to grube, kredkowe portrety, traktowane szkicowo, bez delikatnych cieni i wybitniejszego indywidualizmu. Technika rysunku psychologicznego nie zmieniła się u Bałuckiego, — i nie zmieniła się również technika kompozycyi. Z nikłych drobiazgów rozwija się w Bajczarkach wielkie dramatyczne zawikłanie. Pan A. wybiega na miasto, by żonie strój brylantowy kupić na święto imienin. Dyskretny pan B. na pytanie ciekawej małżonki odpowiada, że to list niepokojący w sprawach finansowych wywołał z domu jej męża. I oto! fundament gotowy. Galeotto lotem błyskawisy roznosi po mieście wiadomość, że bogaty bankier stanął nad brzegiem przepaści, że zrujnował się dla „brylantowych“ zachcianek kochanki swojej, że ubóstwiającą go żonę oszukuje haniebnie.

Tłumy ludu oblegają kasę bankową, finansista, zaskoczony popłochem, ogłasza niewypłacalność, w domu łzy i lamenty zazdrosnej małżonki, — jednem słowem: piekło gorące na ziemi. W podobny sposób rozprowadził autor inne motywy utworu, który po gorącem naprężeniu dramatycznem spada z wyżyny poważnej komedyi do nizin farsy operetkowej. Nierówność ta, uderzająca jaskrawiej jeszcze w głośnym, na konkursie uwieńczonym „Flircie“, psuje wrażenie sztuki, zalecającej się zresztą właściwą Bałuckiemu zręcznością układu.

Rutyna techniczna i pewna doza prawdziwego, choć nieco szorstkiego humoru, to główny warunek powodzenia krakowskiego pisarza. „Bajczarki“ pod tym względem nie stanowią wyjątku, choć kilka efektów scenicznych, a mianowicie pospolite qui pro quo w altanie zamkniętej, uderzają brakiem oryginalności.

Wykonanie utworu raziło, jak wszystkie poznańskie premiery, pamięciową chwiejnością, i brakiem artystycznego układu w scenach zbiorowych, ale dzięki znakomitej grze pani *Trapszowej* w roli Wścibińskiej, oraz charakterystycznemu talentowi panów *Skirmunta i Trapszy* wywierało ogółem korzystne wrażenie. Pierwsza mianowicie była wierną tłomaczką intencyi autora, odtwarzając typ zaczerpnięty z sfer burżuazyjnego salonu, bez arystokratycznej dystynkcyi, ale również bez drastycznej przyprawy szablonowej plotkarki z małomiejskiego bruku. Pan *Łaski* natomiast był sobie przeciętnym „przyjacielem-poczciwcem“ — nic więcej. A przecież postać Szczypkowskiego, trzymająca w ręku swojem całe rozwiązanie kolizyi, powinna górować nad otoczeniem swojem, chociaż sam utwór grzeszy nieco zatraceeniem motywu tego. Dominującej wyższości, polegającej na wrodzonym sprycie i dokładnej znajomości stosunków nie było w grze p. Łaskiego, a ztąd postać jego ginęła w tłumie zupełnie.

Grę pani *Majdrowiczowej* scharakteryzowałem już nieraz w sprawozdaniach teatralnych. Dziś tyle tylko powiedzieć mogę, że w czasie letnich wędrówek po miastach prowincyonalnych niczego dla talentu swojego nie zdobyła i o niczem nie zapomniała.

Jest to niewątpliwie artystka inteligentna i pracowita, ale nieszczęśliwy materyał głosowy, brak symetryi w budowie kształtów i ruchy zmanierowane nigdy stanąć jej nie pozwolą na wyżynach sztuki. Żal mi tej artystki! Przy wielkim zasobie uczucia, przywiązaniu dla sceny i obowiązkowości swojej, mogłaby w innych warunkach rozwinąć się pomyślnie. Ale z niewdzięcznego materyału nie wyrzeźbią najlepsze chęci prawdziwie artystycznego utworu. Jest to szamotanie rozpaczliwe i walka bez zwycięstwa.

W końcu nadmieniam, że p. *Sosnowski* odtworzył postać bankiera Morwy z właściwą sobie dystynkcyą, — chwilami jednak uderzał pewną twardością i wysileniem ruchów, które obniżają nieco grę tego niezwykle zdolnego artysty.

W. R.

NA WYŁOMIE.

(Cyrkowe igrzyska. Kalumnia. W obronie prasy.)

Przerzucając dzienniki niemieckie w tej burzliwej, echem warcińskich owacyi rozbrzmiewającej chwili, doznaję wrażenia, że nastały czasy starorzymskich igrzysk cyrkowych. Rozwarły się bramy klatek żelaznych i stado zwierząt dzikich hula po arenie. Swieżej krwi spragnione szaleją na scenie, a tłum wyuzdany z amfiteatralnych wyżyn rzuca poklask głośny i omdlewa w dreszczach rozkosznych. Głosi jednak legenda, że wielkie brytany, sprowadzone umyślnie na ten cel z Peloponezu, ulękły się majestatu chrześciańskich męczenników i skomląc żałośnie stopy im lizały, — dziś godzina cudów minęła i żadne ze zwierząt nie zapiera się natury swojej.

Stosy dzienników leżą na biurku mojem, a taka w nich muzyka nienawiści, taka dzikość, nie osłonięta żadną tkanką politycznego konwenansu, taka zuchwałość napaści, że jakieś zdumienie umysł ogarnia, — Neronów to plemię, czy niemiecki naród?

A przytem z grymasem cynizmu zbliżają się do nas ci „najserdeczniejsi“ i rzucają w tłumy dziwaczne legendy. Przeczuwają oni, że ten polski naród nie ulęknie się orkiestry gromów, że przedewszystkiem osłabić trzeba wiarę jego w ideały dawne, że należy go oswoić z myślą abdykacyi. Więc stają przed nami i mówią głosem kuszącym: „Wasze najwyższe powagi, opromienione nietylko blaskiem patryotyzmu, ale aureolą wiary, Kościoła i religii, dziś rezygnują z tych praw narodowych, które wy cenicie jak święte. Waszemi torami oni stąpać nie chcą i zrzekają się dobrowolnie wielkich mas ludu, który wy swoim mienicie. Dalej więc za przykładem dostojników waszych, — rezygnujcie!“

Tak mówią „najserdeczniejsi“ i na poparcie twierdzeń swoich publikują w berlińskim „Börsen-Courierze“ interwiew z ks. arcybiskupem Stablewskim.

Dla charakterystyki kłamliwych insynuacyi przytaczam tu w dosłownem brzmieniu końcowe słowa dysputy, — fałsz dziwaczny, wylęgły w mózgu germańskim. Ks. arcybiskup Stablewski taką rzekomo wygłasza opinią:

„*Potępiam polską propagandę na Górnym Szlasku, bo w tej dzielnicy, oddzielonej na podstawie prawno-państwowej (staatsrechtlich) przez 5 czy też 6 stuleci od Polski, a zatem w czasie, w którym uczucia narodowego w naszem zrozumieniu wogóle nie było, rozbudzanie tego uczucia nie posiada w dobie dzisiejszej żadnego uprawnienia. Ale ja tę propagandę przy obecnie panujących stosunkach pojmuję, a właśnie przedstawiciele antipolskiej polityki wiążą mi ręce, tak, że przeszkodzić temu nie mogę, co na Górnym Szlasku się dzieje.*“

Tak brzmi końcowy ustęp interwiewu. Powtarzam raz jeszcze, że ani jednej chwili nawet nie przypuszczam, aby prymas polski, ks. arcybiskup Stablewski, nietylko potępił rozbudzenie Górnego Szlązka, ale uznał nadto otwarcie zamysły spętania dążeń narodowych nie naruszających w niczem obowiązków względem korony i państwa.

Tam, gdzie pod grubą warstwą niemieckich popiołów drzemie iskra ducha polskiego, — polski lud, polski język i polski obyczaj, prędzej czy później *naród* się obudzi. Praca nasza piętna propagandy nie nosi na czole, bo w słowie tem dźwięczy nuta zaborczości, — zwycięstwo nowych i cudzych pierwiastków. Cerkiew, wiodąca tłumy katolików na łono prawosławnego kościoła, jest propagandy ogniskiem, lecz Polak, mówiący bratu śpiącemu, że i on jest członkiem polskiego narodu, broni tylko praw pogwałconych i naturalnego rozwoju, zatamowanego potęgą stosunków. Spełniać sumiennie, bez protestu i bez ograniczeń obowiązki względem państwa, — to hasło Polaków, jako poddanych pruskich. Budzić miłość dla ojczystego języka, ojczystych tradycyi, pamiątek i literatury, — budzić świadomość przynależności do wielkiej rodziny polskiej, to hasło Polaków, jako narodu.

Niczego więcej nie pragniemy, a uwierzyć nam trudno, aby ks. arcybiskup Stablewski rzucić miał kamieniem potępienia na tę fundamentalną zasadę wszystkich dążeń narodowych, odpychać szląskich patryotów od tronu swojego i stać się grabarzem tysięcy ludu polskiego. Fałsz to potworny, wylęgły w mózgu germańskim, zgrzyt nieufności, szarpiący nici między narodem a pasterzem jego, mina rozsadzająca ideały i wierzenia nasze.

Niemieckiej potwarzy jednak milczeniem pominąć nie wolno. Ogólnikowe domyślniki dzienników niektórych, i ostrożne omijanie finałowych ustępów interwiewu raczej zatrwożyć niż uspokoić mogą społeczeństwo polskie. To też wyrażam nadzieję, że sprostowa-

nie urzędowe nastąpi niebawem. Naród powita je z entuzyazmem.

* * *

Dotykając krytycznem piórem stosunków teatralnych, narażę się może znowu na zarzut, że zapominam o względach i obowiązkach wobec dawnego towarzysza pracy. Ale wybaczy mi pan Dobrowolski, jeżeli ośmielę się w obronie prasy, już nie syczącym głosem satyry, której ucho drażliwsze nie znosi, lecz spokojnie, bez soli atyckiej opowiedzieć czytelnikom „Przeglądu“ ciekawe zdarzenie.

Dyrekcya teatru poznańskiego rozesłała w początkach bieżącego sezonu wszystkim redakcyom pism polskich karty legitymacyjne, na mocy których poszczególni recenzenci otrzymywać mieli przy kasie bezpłatny bilet na krzesło parterowe. Zdarzyło się tedy, że recenzentka jednego z dzienników *opozycyjnych*, znana zresztą nietylko w Poznaniu, lecz i w Warszawie literatka, stanęła z *kartą legitymacyjną w ręku* przy kasie i zażądała biletu. Ku największemu zdumieniu jednak usłyszała z ust kasyerki wyrok następujący: „Zyczenia pani spełnić mi nie wolno, bo dyrektor rozporządził, aby tylko naczelnym redaktorom osobiście wydawać wolne bilety.“

Oto przebieg zdarzenia, rzucającego mimo nikłości swojej niezmiernie charakterystyczne światło na stosunek dyrekcyi teatralnej do poznańskiej prasy. Znając dokładnie zakulisowe tajniki sceny naszej, nie żądam od p. Dobrowolskiego nadzwyczajnej uprzejmości dla kolegów po piórze. Nie wymagam zatem, aby wzorem krakowskich lub warszawskich teatrów zapraszano przedstawicieli prasy na próby czytane lub generalne, nie potępiam nawet dyrekcyi za niezmienną pogardę, okazywaną stale dla wszystkich życzeń krytyki, dotyczących zmiany personału i repertuaru, ale obniżam pretensye moje do prostego żądania, aby dyrekcya spełniała przynajmniej najelementarniejsze obowiązki, podyktowane zwyczajem, interesem sceny i logiką. Jakiem prawem rozporządza dyrekcya, aby tylko naczelny redaktor otrzymywał bilet, a każdy inny recenzent, zaopatrzony w kartę legitymacyjną, odchodził próżno od kasy? A jeżeli z wyżyn Jowiszowych spłynął ten dziwoląg dyktatorski, i teatr tylko kierownikom prasy otwiera podwoje, to czarujące niespodzianki czekają niebawem czytającą publiczność. Pomyślcie tylko! Dział teatralny w „Dzienniku“ obojmuje sam p. Dobrowolski, naczelny redaktor.

Tableau!...

Mógłbym jeszcze na temat teatralnego ukazu wysnuć cały legion wesołych konsekwencyi, ale rozpędziwszy na cztery wiatry wszystkie satyryczne Chochliki nie znajduję w kałamarzu moim dość jaskrawych kolorów. „Djable“ krakowski! załóż filię w Poznaniu. Na samym teatrze miliony zarobisz!

A w końcu jedna jeszcze marginesowa uwaga. Redakcya pisma opozycyjnego, która doznała przy teatralnej kasie pociesznej rekuzy, nie upomniała się dotychczas ani jednem słowem o prawa swoje. Motywów nie znam. Wiem jednak, że nie zasługuje ten na szacunek innych, kto sam siebie szanować nie umie, i wyrażam nadzieję, że redaktor zażąda wyjaśnienia sprawy.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

F. W. Farrar. Mrok i brzask. (Darkness and Dawn). Powieść z czasów Nerona. Kraków, nakładem Spółki wydawniczej 1894. str. 331.

Czasy Nerona nęcą zawsze ku sobie powieściopisarzy; rozpoczyna się bowiem w nich upadek starożytnej Romy, na której gruzach zaczyna powstawać Rzym chrześcijański. Co więcej źródła historyczne dostarczają obfitego materyału do skreślenia demonicznej postaci Nerona, która dla powieściopisarza i dramaturga dostarcza obfitego materyału do studjum psychologicznego. Archeologiczne badania lat ostatnich rzuciły też wiele światła na Rzym starożytny i początki chrześcijaństwa. Autor „Mroku i brzasku“, dostojnik angielskiego kościoła, skorzystał z tych wszystkich materyałów, aby skreślić opowieść, której tendencya i treść zamykają się w samym tytule. Na każdej karcie widzimy ślady tej jego erudycyi, co podnosi wartość opowiadania, a nie wpływa ujemnie na jego stronę artystyczną. Zarzut można ten uczynić, iż autor rozporządzając małym zapasem fantazyi, mimowoli osłabił przewodnią myśl swego utworu, świat bowiem pogański. neronowski, przez samą obfitość materyału występuje na plan pierwszy i daleko więcej zajmuje czytelnika, niż kryjący się w katakumbach świat chrześcijański. Powieść rozpoczyna się od otrucia Klaudjusza i nieprawnego wstąpienia na tron Nerona, a kończy się zamordowaniem tego rozszalałego okrutnika. Na pierwszy plan występują w powieści Agrypina, Brytanek, Oktawia, Seneka, Poppea i Onezym, którego dzieje najwięcej autor przekształcił dla wymagań powieściowych. Przy końcu występują na widownią apostołowie Piotr i Paweł. Pierwszemu z nich, kiedy uchodził z Rzymu, ukazał się Chrystus dążący ku Rzymowi. „Gdzie idziesz, Panie?“ „D o m i n e, q u o v a d i s?“ zapytał się apostoł. „Do Rzymu, odpowiedział Pan, aby tam po raz wtóry być ukrzyżowany“. Apostoł cofnął się z drogi i powrócił po koronę męczeńską. Przytaczamy ten znany szczegół ze względu na zapowiedzianą powieść Sienkiewicza „Q u o v a d i s“. Polski powieściopisarz nie oparł się pokusie przedstawienia tych samych dziejów, które są treścią powieści Farrara. Możemy z góry być przekonani, że pod świetnem piórem Sienkiewicza „mrok i brzask“ wystąpią tak silnie i wspaniale, że opowieść Farrara pozostanie w cieniu. Nie umniejszy to jednak jej wartości, będzie bowiem zawsze ściśle i poważnem odbiciem jednej z najważniejszych epok w dziejach ludzkości. W oryginale angielskim powieść składa się z 3 tomów, tłomacz skrócił ją i zawarł w jednym wielkim tomie. Czy to wyszło na jej korzyść, powiedzieć nie umiemy, nie przeczytawszy wprzód oryginału. Wogóle jednak nie możemy nigdy pochwalać tego rodzaju skracań i przeróbek dowolnych.

K. Bart.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Japończycy odnieśli znowu na morzu kilka drobniejszych korzyści. Chiny zbroją się energicznie, aby świeże straty powetować. — W Tarnopolu aresztowano kilkunastu członków tajnego stowarzyszenia o celach rzekomo antipaństwowych. — Strejk w szląskich kopalniach Waldenburga zakończył się częściowem uwzględnieniem żądań robotników. — Niemcy z Prus Wschodnich zamierzają urządzić wycieczkę do Warcina 20 października. — „Reichsanzeiger“ zaprzeczył wiadomości, jakoby hr. Caprivi miał się kiedykolwiek wyrazić, że w Poznańskiem zamierza landratury obsadzić Polakami. — „Nordd Allg. Ztg.“ oświadcza, że wszystkie pogłoski o nałożonym podatku na tytoń są bezpodstawne. — Z powodu strejku w kopalniach szkockich pozostaje 70.000 górników bez pracy.

Zjazdy i kongresy. Walne zebranie Kółek rolniczych powiatu mogilnickiego odbędzie się w Trzemesznie 30 b. m. — Kongres stronnictwa niemiecko-wolnomyślnego w Eisenach rozpoczął się w piątek wieczorem.

Wystawy. W Wiedniu otwarto wystawę przyrodniczo-lekarską. — W Gracu urządzono wystawę motorów, maszyn pomocniczych i przyrządów służących do drobnego przemysłu. — W Królewcu odbyła się wystawa ogrodnicza.

Teatr i muzyka. Raulek Koczalski wydał na orkiestrę legendę symfoniczną. (Lipsk). — Zapowiedziano ponowne występy artystki lwowskiej p. Siennickiej na scenie warszawskiej. — Teatr łódzki rozpoczyna sezon 29 b. m. prologiem napisanym przez p. Mieszkowskiego. — W Petersburgu występować będzie w zimowych miesiącach Towarzystwo p. Puchniewskiego. — Najnowsza sztuka Sudermanna p. t. „Walka motyli“ ukaże się bezpośrednio po premierze berlińskiej na scenie warszawskiej.

Dwa aforyzmy. „Jak powój owija się około sękatego dębu, zdobi go liśćiem i ochrania, gdy burze huczą w koronie, tak szlachta pruska dom mój otacza“. (Cesarz Wilhelm II w mowie wygłoszonej 6 września 1894 w Królewcu.

„Jak mięczaki kości, tak powój pnia nie posiada, ale pragnie wszędzie, gdzie tylko się przytuli, pierwszą odgrywać rolę. Przy starych murach, gdzie i tak nic już zepsuć nie można, — tam miejsce jego, z nowych gmachów usuwamy go chętnie. Powój drzewa wysysa, a najnieznośniejszym jest dla mnie wtedy, jeżeli pnie się po słupie i zapewnia, że tu pień jest żywy, ponieważ on go w liście swoje owinął. (Goethe: Aus meinem Leben. Część III. Księga XII.)

Charakterystyczna statystyka. P. Drago, jeden z dyrektorów 323 teatrów włoskich, uprawiający szczególniej „krwawe“ dramaty, ogłasza w jednem z teatralnych pism włoskich osobliwą statystykę. Domorośli „autorowie“ nadesłali mu w ciągu roku bieżącego 127 nowych sztuk, w których p. Drgo naliczył 315 osób zamordowanych, 78 dziewcząt uduszonych, 25 osób straconych na rusztowaniu i wreszcie 122 testamentów skradzionych. Co za fantazya!

P. **Bolesław Jacuński**, utalentowany artysta-rzeźbiarz. którego „Hamlet“ zwrócił ogólną a nader sympatyczną uwagę na wystawie sztuki we Lwowie, wykonał, bawiąc czas jakiś w tem mieście, szereg medalionów, które się bardzo dobrze udały. Są to medaliony Dr. P. Chmielowskiego, Dr. A. Małeckiego, J. Kossaka, T. Jeża, W. Bełzy, A. Krukowieckiego i J. Szczęsnej Cybulskiej. Artysta powrócił obecnie do Odessy, gdzie ma stałą pracownię i zajęty jest wykonaniem dzieła większych rozmiarów: „Żyd, wieczny tułacz“, oraz pracami rzeźbiarskiemi do gmachu sprawiedliwości w Chersonie i do uniwersytetu w Kijowie.

Bjornstjerne Biornson, znakomity dramaturg i polityk norwegski, zamieścił w „Daily Chronicle“ ciekawy artykuł o socyaliźmie. W pracy tej radzi słynny publicysta, aby socyaliści zawarli przymierze z radykałami, bo chociaż kiedyś odniosą zwycięstwo, to nie zdołają wcielić w życie obecnego programu. Z radykałami zaś łączy ich wiele wspólnych dążeń i poglądów.

Z m a r l i:

Edward Miaskowski, wydawca ongi „Gazety codziennej“ w Warszawie. Zm. w 80 roku życia.

Wincenta z Żółkowskich Zawadzka, autorka „Gospodyni litewskiej“ (8 wydań). Zm. w Wilnie.

Waldemar Hottenroth, niemiecki malarz historyczny, zm. w Wachnitz p. Dreznem.

BIBLIOGRAFJA.

Szczęsna. Poezye. Lwów 1894.

Aleksander Kraushaar. Zatarg Imci Pana Łukasza Konopki z miastem Toruniem. Kartka archiwalna 1742—1756). Wydanie drugie. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1895.

Stanisław Ptaszyński. Mąż Czterdzieści i Czterech wskrzesiciel narodu. Szkic literacko-biograficzny. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego. 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

St. A. w W. Zdarzeń takich znamy nie mało. Wśród literatów polskich niepunktualność tego biura stała się przysłowiową. Radzimy publicznem ogłoszeniem wezwać dyrekcyę do oddania rękopisu. Znamy wypadek, w którym środek ten okazał się nader skuteczny.m

Czujny. Powierzyliśmy wiadomej redakcyi. Wydrukowano w numerze sobotnim.

R. Pismo to zmieniło istotnie swój kierunek z błyskawiczną szybkością. Przyczyny znamy, ale aż do czasu zachować musimy w sekrecie.

F. Nie redagujemy przecież „Przyjaciela dzieci“ Pismo nasze jest odbiciem wszystkich prądów w literaturze nowoczesnej. Dotrzymujemy tylko obietnicy programowej.

Składki

Z Gdańska otrzymaliśmy 171 mr., z których jedna połowa **(85,50 mr.)** przeznaczoną jest **na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o życiu Karola Marcinkowskiego**, a druga na **fundusz im. Kościuszki**.

Złożyły następujące osoby:

Mecenas Bielewicz 6 mr., Kusztelan 3 mr., N. Najgnakowski 3 mr., K. Kwieciński 3 mr., ksiądz Paszkie 3 mr., ksiądz Golisch 3 mr., ksiądz Jaruszewski 3 mr., P. Sychowski 3 mr., N. N. 2 mr., Alfons Peretz 1 mr., Dr. Wicherkiewicz 10 mr., Szebelski 3 mr., Górnicki 2 mr., Główczyński 3 mr., Szczypiński 2 mr., M. Janicki 5 mr., L. Szubert 2 mr., J. Zgorzalewicz 3 mr., Gostomski 2 mr., N. Gołaszewski 2 mr., J. Gliniecki 2 mr., Mecenes Neumann 25 mr., Dr. Stanowski 3 mr., Kiedrzyński 3 mr., Cichorzewski 3 mr., Józef Szuman 10 mr., Stefan Grabski 20 mr., Dr. Schroeder 5 mr., Milski 3 mr., Różycki 3 mr., Dr. Panecki 10 mr., Dr. Trepiński 10 mr. Dr. Szubert 10 mr. — Razem 171 mr.

Oprócz tego złożyli na f u n d u s z k o n k u r s o w y w s p r a w i e d z i e ł a o K a r o l u M a r c i n k o w s k i m:

Dr. Marten	5 mr.
Dr. Stefanowicz z Obornik	5 mr.
Dr. Stasiński z Konarzewa	10 mr.
Kaźmierz Rzepecki	5 mr.
Razem	25 mr.

Ogółem zebraliśmy dotychczas na cel powyższy **504,50 mr**. Na fundusz im. Kościuszki złożono w redakcyi naszej ogółem **104,00 mr**. Z tych oddaliśmy **16,50 mr**. już dawniej do „Banku przemysłowców polskich“, jako centralnego miejsca składek. Pozostaje zatem u nas **87,50 mr**.

W s z y s t k i m o f i a r o d a w c o m z a s y ł a m y s e r d e c z n e „B ó g z a p ł a ć!“

O d a l s z e s k ł a d k i p r o s i m y g o r ą c o.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.